EPOKA

ROK IV. Warszawa, 5 stycznia 1937 r. Rok IV, Nr. 1 (80)

Treść numeru:

RZECZYWISTOŚĆ, Z KTÓRĄ NALEŻY SIĘ LICZYĆ

„O roku ów, kto ciebie widział...". Czy historykowi lub poecie, któremu kiedyś w natchnieniu przypadnie zdawać sprawę z okresu kalendarzowego oznaczonego liczbą 1936 po Nar. Chr. nie przyjdzie mimowoli na pamięć nieśmiertelny wiersz z XI-ej księgi „Pana Tadeusza"?

Głębsza refleksja, wychodząca z założenia względności rzeczy ludzkich w czasie i przestrzeni może go powstrzymać od porównań i zestawień 1812 z 1936-ym, bo przecież w perspektywie historycznej nic nie staje się w ramach dat określonych konwencjonalnymi podziałami umownego pojęcia czasu... Jednak, abstrahując od refleksyj filozoficznych, spostrzega się przecież rzeczywistość in flaganti, a omyłki subiektywizmu mniej lub bardziej wąskiego, do pewnego stopnia dają się skorygować w perspektywie historycznej. W świetle dalekich przyszłych, możliwie po ludzku najdalszych od subiektywizmu sądów, można powiedzieć, że zamknięty już dla świata rok 1936-ty był rokiem osobliwym, przełomowym.

By stwierdzić słuszność tego poglądu, trzeba zdać sobie sprawę z rzeczywistości realnej, nie urojonej, nie dopasowanej do z góry powziętych twierdzeń i tendencyj. Przez samo dokonanie tej pracy myślowej i sprawozdawczej, wejdziemy in medias res relacji wydarzeń ostatnich tygodni 1936 roku i nawet ich całokształtu w zakończonym w notatnikach okresie. „C'est seulement la realité des choses qui compte...". Przypomniano nam to słynne wyrażenie Bonapartego, przypomniano je w ocenie sytuacji międzynarodowej przed zakończeniem roku.

Takie jednak aforyzmowe ujęcie położenia wymaga ścisłego, dokładnego określenia rzeczywistości (la réalitê des choses), aby można było określić, z czym się liczyć należy, a z czym nie.

Pod tym względem 1936 rok i jego zakończenie w dużym stopniu mają wymowę wielką i przekonywującą, dającą prawo do nazwania tego roku osobliwym... Rozpoczęliśmy go wśród tryumfu reakcji na świecie. W Rzeszy Niemieckiej czyli Hitlerlandzie bezapelacyjnie rządził ustrój, zapowiadający swoje bytowanie na... tysiąclecia. Siła i doskonałość gwałtu i ucisku ucieleśnionych w tym reżymie, nie wywoływały niemal nigdzie wątpliwości. Rozwój materialny Niemiec pod władzą Adolfa Hitlera uważany był za rzeczywistość, nie podlegającą żadnej wątpliwości. Cokolwiek i ktokolwiek mógł w tej

sprawie zakwestionować, uważane było za wątpliwość stronniczą, partyjną i nie znajdującą potwierdzenia w rzeczywistości. Rzesza Niemiecka robiła co chciała: zrywała traktaty, tworzyła armię najbardziej nowoczesną o niesłychanej sile i liczebności, budowała flotę, lotnictwo, fabryki, zmniejszała liczbę bezrobotnych, nie dewaluowała marki, traktat wersalski, z wyjątkiem nieporuszanych łaskawie klauzul terytorialnych, leżał w strzępach, pod koniec roku z całą stanowczością ruszyła akcja dyplomatyczna i propagandowa Niemiec po kolonie. Świat patrzał, zdumiewał się, czasem pisano notę protestującą, czasem usiłowano łagodzić „burzę i napór" polityki niemieckiej, ale na ogół ktoś biorący swoje wygodne życzenia za rzeczywistość, mógł twierdzić, że jedyne, z czym należy liczyć się, to siła i potęga hitlerowskich Niemiec. Dodajmy do tego tryumfy siły faszyzmu włoskiego, które również przypadły na rok ubiegły. Zdobycie Addis-Abeby, ucieczka Negusa, cofnięcie sankcji przez Ligę Narodów, dalszy podbój nieszczęsnego kraju, Heile Seilassie'go, który ufał, że instytucja genewska ma siły fizyczne dla poparcia swoich uchwał moralnych. A po tym wszystkim następuje jeszcze sprzymierzenie się dwóch ośrodków dyktatur faszyzmu i hitleryzmu. Cóż po tym ma powiedzieć polityk realny? Bierzmy rzeczywistość tak, jak ona jest i dostosujmy do niej politykę. I któż mógłby z tą zasadą polemizować? Powtarzamy tylko: trzeba dobrze określić rzeczywistość, a wszędzie, zaś w szczególności w Polsce, która ma co do tego szczególne doświadczenia, trzeba sobie powiedzieć, że do realności należą... imponderabilia „nieważniki", które ważą więcej niż wszystko, nieważniki, które zmieniają znaczenie cytowanego na początku aforyzmu Bonapartego.

Z tych „nieważników" zrodziło się w maju i czerwcu zwycięstwo Frontu Ludowego we Francji, na nich oparła się prężność i owocność działań nowego rządu Francji, który, wbrew wszelkim obliczeniom realistów, przetrwał rok 1936-sty do końca i gotów jest wytrwać pomimo zmienności losów do końca czteroletniej legislatury. Zwalczająca go reakcja początkowo twierdziła, że zmiecie go „naród francuski" poza parlamentem pod wodzą płk. de la Rocque, później czyhano na klęski w parlamencie, stawiano stawkę na Senat, stając w obronie wolności; teraz już de la Rocque tworzy klub w Izbie Deputowanych i przygotowuje się do przyszłych, według jego przekonania, bardzo bliskich wyborów, a nad miarę szczery przywódca przemysłowców p. Gignoux, organizując rujnujący państwo opór fabrykantów przeciw rozstrzygnięciu zatargu w metalurgii w departamencie północnym, wyznaje po prostu: ten rząd przygotowuje przebudowę ustroju społecznego i gospodarczego. Otóż to! Oto — owe „imponderabilia", dla których realnością jest siła rządu francuskiego Frontu Ludowego, siła, z którą należy liczyć się i rozumieć. A nie jest „realnością" potęga Hitlerlandu, targanego głodem, wyzyskiem niszczonego pod względem materialnym i kulturalnym przez gwałt i ucisk.

***

Na półwyspie Iberyjskim, od pół roku blisko toczące się krwawe zapasy potwierdzają w obliczu całego świata słuszność przekonania, że czynniki na pozór „nieważkie" przeważają. I znowu dlatego rok 1936 jest przełomowym, bo dał nam w Hiszpanii tragiczne wprawdzie, ale najbardziej wymowne tego dowody. Generałowie: Franco, Molo i Queipo-de-Llano sądzili, że co udało się rasowi Gugsa w Abisynii, powiedzie się także im i że wydając swoją ojczyznę w ręce obcych chciwych i łapczywych zaborców, zdołają zachować togę i miecz swojej władzy przeciwko woli ludu hiszpańskiego. Mussolini interweniował w Abisynii na rzecz rasa Gugsy i dzikich plemion Galla, tak jak Katarzyna II z Fryderykiem na rzecz dysydentów w Rzeczypospolitej. Te dwie „interwencje" w obronie „wolności" powiodły się. Dla likwidacji jednej z nich trzeba było aż nieomal 150 lat. Druga wchodzi na razie w fazę realności, przy której gdyby istniała jeszcze jakaś Porta Ottomańska, czekanoby formalnie na posła z Etiopistanu; ponieważ jej nie ma, przeto narazie w Addis-Abebie zabraknie lokali na konsulaty generalne, do których tłoczą się w fałszywej ocenie rzeczywistości lub dla asekuracji wszystkie państwa europejskie. Jednak interwencja zbrojna na rzecz swobody gwałtu reakcji hiszpańskiej zawiodła, złamała zęby na Madrycie, przegrała wielką stawkę i skompromitowała się. Liczący się z „rzeczywistą rzeczywistością" Mussolini przed końcem 1936 r. zdaje się sprzedał swój udział w tej interwencji prowadzonej do spółki z Hitlerem za dobre porozumienie z W. Brytanią. Tam właśnie na półwyspie Pirenejskim przełomowość roku 1936-go zarysowała się w całej okazałości. Tam ujawniła się przejściowość koniunktur i wyrachowań opartych na bezwzględnym unikaniu wartości prawa i wolności, tam okazało się, że „liczy się" nieraz to, co na pozór nie jest „realnością".

Reasumujmy: Madryt nie jest wzięty, republika hiszpańska z dnia na dzień przybiera na siłach, Mussolini na wszelki wypadek gotów wycofać się z tej awantury, w Niemczech na razie jedynym jej wynikiem są płacze i protesty matek, których synów ranionych przywożą pokryjomu do szpitali w Niemczech, wstrzymanie ruchu części fabryk włókienniczych z braku surowca, rozrost obozów koncentracyjnych i organizacja głodówki społeczeństwa w czasie pokoju.

Bardzo umiarkowany publicysta francuski, należący raczej do obozu reakcji, Emil Buré, w gazecie „L'Ordre", oceniając położenie, napisał przed paru dniami te znamienne słowa: „Nauka z okropnej awantury hiszpańskiej jest ta, że kto chce dokonać przewrotu, musi być pewien, że osiągnie cel szybko, z pomocą ogromnej większości swoich ziomków. Gen. Franco, zapowiadając wyzwolenie Hiszpanii od cudzoziemców, musiał odwołać się do Maurów, a później do Włochów i Niemców i nawet gdyby osiągnął zwycięstwo, nie mógłby być bohaterem narodowym".

***

Ale nie tylko tam, pod Madrytem, doznali zawodu wyznawcy t. zw. realizmu. Z tajoną radością spoglądali oni na słynny pakt japońsko-niemiecki; stwierdzał on w ich oczach, gdzie gromadzi się „rzeczywistość, z którą należy liczyć się". Było to apogeum mobilizacji sił reakcji w 1936 r. dla przyszłej wojny. A oto jakie są tego wyniki. Oddamy tu znowu głos publicyście francuskiemu, niepodejrzanemu o sprzyjanie paktowi francusko-sowieckiemu. W gazecie „L'Ouest-Eclair", organie katolickim, czytamy:

„Rumunia powraca dziś do Francji. Powodów te-

go należy szukać w fakcie, który spowodował i inne skutki na szachownicy międzynarodowej. Fakt, o którym mowa, to umowa niemiecko-japońska, ostatni coup de théatre Hitlera z dn. 25 listopada. Aż do tego dnia Niemcy mogły chlubić się, że usunęły wszystkie plany, wszystkie próby odosobnienia ich. Przeciwnie, mogło się wydawać, że to odosobnienie grozi Francji, która przez osłabienie węzłów łączących ją z Anglią i obawy żywione na skutek zobowiązań wobec Moskwy, widziała, że Belgia opuszcza ją, a państwa Małej Ententy, jak gdyby żeglują w kierunku Berlina; ruch ten był mniej widoczny w Pradze, ale zupełnie wyraźny w Białogrodzie i Bukareszcie. Zapowiedź sojuszu Tokio — Berlin zatrzymała tę ewolucję, nastąpił wstrząs, pozycja Francji uległa konsolidacji. W ciągu 3-ch tygodni Niemcy straciły swoje pozycje w Pradze, Białogrodzie, Bukareszcie, które zdobywała ich tajna i jawna dyplomacja, a także dyktator gospodarczy dr Schacht w ciągu 3-ch lat".

Pomijając pewną przesadę w ocenie, a mianowicie opuszczenie doniosłego znaczenia klęsk interwencji faszystowsko-hitlerowskiej w Hiszpanii, które spowodowały przecież w samym końcu roku zwrot w polityce Italii, uwagi francuskiego dziennikarza prowincjonalnego są słuszne. Potwierdzają one całkowicie przekonanie o znaczeniu zwrotnym roku 1936-go; a co ważniejsze — słuszność zdania, że naprzód trzeba wiedzieć dobrze, co jest rzeczywistością, zaliczać do niej także i „nieważniki", a później dopiero orzekać, z czym należy się liczyć. Inaczej bierze się za rzeczywistość — wiarę w niezmienność zwycięstw reakcji. A tej właśnie niezmienności położył kres rok 1936.

FRONT KOŁTUŃSTWA

Żyjemy w okresie frontów, których linie dzielą obszar naszego życia społecznego i intelektualnego na obozy. Linie tych frontów są szerokie i na mapie naszego życia występują coraz wyraziściej. Dawna mozaika partii politycznych różniących się od siebie często subtelnymi odmianami w programach, a nierzadko jedynie osobistymi ambicjami przywódców, zaciera się coraz bardziej. Ustępuje podziałom zależnym bądź od zasadniczych warunków, w których żyją dziś ludzie, bądź od struktury psychicznej ludzi działających.

Zmienność wydarzeń życia współczesnego, tempo wypadków i ich znaczenie praktyczne dla życia stawia każdego dziś człowieka niemal codziennie wobec konieczności zajmowania zdecydowanego stanowiska w kwestiach najbardziej różnorodnych i konieczność ta szlifuje poprostu i wyostrza naszą postawę psychiczną. Jednakowe reakcje na te same zjawiska zbliżają do siebie jednako reagujących ludzi, choćby między nimi było nawet wiele różnic innej natury. Jeśli zgodność reakcji jest częsta, jeśli następuje wobec tych samych zjawisk niemal z reguły — zbliżenie jest silniejsze. Do tego nie trzeba żadnego zbliżenia organizacyjnego ani żadnych organizacyjnych przygotowań. Wystarczy zgodność postawy psychicznej.

Ta zgodność tworzy „front", który nie musi być bynajmniej wyrazem jakiejś organizacji. Na tle stosunku do pewnych zagadnień i zjawisk społeczeństwo dzieli się na obozy. Dzieli się samo. Czy to będzie sprawa Abisynii, czy wojny w Hiszpanii, czy jakakolwiek inna żywotna i żywo nas obchodząca — każda z nich tworzy linię podziału, biegnącą pozornie fantastycznie, czasem niezgodnie z tradycyjnymi rozdziałami. Ale gdy te linie coraz częściej zaczynają się pokrywać, podział przez nie wykreślony coraz bardziej nabiera istotnego i zasadniczego znaczenia.

Dla ludzi o nastawieniu psychicznym konfidentów policyjnych, którzy nie potrafią śledzić przemian życia ludzkiego, ale za to z tym większym zapałem starają się śledzić ludzi, naturalność tych podziałów wydaje się tajemnicza i niezrozumiała, jeśli tylko przekracza ich wzrost duchowy. Nie mogą zrozumieć samorzutnej zgodności postawy psychicznej różnych ludzi wobec pewnych imponderabiliów. Nie mogą uwierzyć, aby człowiek sam, bez jakiegoś nakazu z zewnątrz, bez porozumienia się z innymi ludźmi potrafił zdobyć się na jasne i zdecydowane stanowisko wobec zjawisk i spraw niezwiązanych bezpośrednio z jego codziennym bytowaniem.

Front przeciwny, front obskurantyzmu i ciemnoty, zacofaństwa i kołtuństwa musi być organizowany i kierowany. Gdy się prowadzi ciemny tłum, trzeba mu wskazywać przeciwnika i zagrzewać do boju. Człowiek wolny sam dostrzega nieprzyjaciół i samorzutnie reaguje na niebezpieczeństwa, które zagrażają jego wolności, niezależności, kulturze i zasadom. Front obrony przed zaborem agresywnego kołtuństwa tworzy się samorzutnie. Bo jest frontem wolnych i niezależnych duchowo i intelektualnie ludzi.

Ta samorzutność jest najbardziej niepokojącą zagadką, dręczącą rozmaitych mniej lub bardziej tajnych detektywów naszej publicystyki, uprawiających swój zawód z amatorstwa lub z obowiązku. Oni muszą wykryć organizację, dotrzeć do ośrodka dyspozycji. Nie stać ich na to, żeby tego ośrodka szukać w człowieku. Jeśli dziesięciu obcych sobie ludzi stanie w obronie napastowanego przez opryszków na ulicy przechodnia, to oni muszą znaleźć jedenastego, który tym dziesięciu taką wydał „dyspozycję". Bo, według ich pojęć, ośrodek dyspozycji nie może znajdować się w człowieku, lecz poza nim.

Skoro napaść krakowskiego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego" i pism endeckich oraz pozostających pod bezpośrednimi wpływami Akcji Katolickiej na „Płomyk" napotkała opór i sprzeciw całej opinii niezależnej — to dla dusz i umysłów konfidentów sprawa stała się jasna: powstał Front Płomyka. Trudno, oczywiście, wmówić w ludzi, nawet najmniej krytycznych, że dyspozycje tego frontu spoczywają w rękach międzynarodowego żydostwa. Masoneria też jest argumentem coraz mniej frapującym; zbyt go nadużywano w ostatnich czasach, ażeby mógł błyszczeć silniejszym i tajemniczym groźnym blaskiem. To też wzorem światowego faszyzmu, zwekslowano sprawę na tor nowy, wysunięto argument, dający świeże i obszerne pole popisu. Poprostu wszystko to, co nie chce skapitulować, co ośmiela się przeciwstawiać naporowi agresywnego kołtuństwa oddano inspiracji i komendzie kominternu. To daje nareszcie szeroką platformę, na której pomieścić się mogą

wszyscy bojownicy kołtuństwa i obskurantyzmu. Krakowski „Ilustrowany Kurier Codzienny" z zazdrością spoglądający dotychczas na uprawianą przez prasę endecką demagogię antysemicką, w której użyciu ze względu na zespół swych właścicieli i współpracowników musiał być bardzo ostrożny, mógł nareszcie dostąpić do wspólnego stołu.

Chodzi tylko o to, by stworzyć takie kryteria, według których do obozu bolszewickiego możnaby zaliczyć w Polsce każdego przeciwstawiającego się frontowi kołtuństwa człowieka. Szeroką próbę w tym kierunku podjął wolontariusz - konfident reakcji rodzimej. p. Włodzimierz Bączkowski. Na łamach tygodnika „Myśl Polska" wytypował punkty węzłowe Czarnego szlaku kominternu do Polski.

Są nimi: 1. Rozruchy narodowościowe zwłaszcza na tle antysemickim. 2. Wzrost strajków. 3. Anarchizowanie przyszłych oficerów rezerwy. 4. Anarchizowanie przyszłych podoficerów rezerwy. 5. Propaganda polskiego „Drang nach West". 6. Propaganda frankofilstwa i czechofilstwa. 7. Sprawa kresów. 8. Koleje. 9. Kultur bolszewizm.

Rozruchy antysemickie są poprostu sprowokowane przez żydów na rozkaz kominternu. Anarchizują one młodzież akademicką, która w walce z żydami podchwyciła bolszewickie hasło strajków okupacyjnych, stosując je w postaci „blokad". A młodzież akademicka — to przyszli oficerowie rezerwy. Przyszłych podoficerów anarchizuje i komunizuje w szkole powszechnej oczywiście „Płomyk".

W prasie wzrasta oburzenie na ucisk Polaków w Niemczech hitlerowskich, na „niemczenie nazw polskich wiosek dokonywane przez głupkowatych hakatystów niemieckich". Dzieje się to na skutek zleceń Moskwy, aby odwrócić uwagę od losu Polaków w Rosji i stworzyć nastroje antyfaszystowskie.

Wzrasta frankofilstwo. Frankofilami są: i Barlicki, i Czapiński, i Koskowski, i Kozicki. Cóż mogłoby sprowadzić tych „reprezentantów dwóch śmiertelnie zwalczających się obozów" do takiej zgodności poglądów na sprawy zagraniczne, jeśli nie rozkaz kominternu?

„Polskie obronno - ofensywne plany wobec Rosji znajdowały świetną podbudowę i nabierały rumieńców wykonalności" w sojuszu z nacjonalistami ukraińskimi. Niewczesne pomysły kolonizacyjne zniszczyły ową podbudowę do tych „obronno - ofensywnych" planów. Na naszych kolejach wydarzyło się ostatnio kilka katastrof. Bolszewicy wiedzą doskonale, że koleje to newralgiczny punkt obronności. A pozatym pociągi się spóźniają. My, naiwni, sądziliśmy, że to wskutek przebudowy węzła warszawskiego. P. Bączkowski podsuwa dopiero prawdziwą sugestję.

A reszta, której nie da się podciągnąć pod te punkty — to kultur - bolszewizm.

Słowem całe nasze życie publiczne rozwija się ściśle według planów ustalonych przez komintern. Gdy zastosujemy kryteria p. Bączkowskiego, wszystko wyda się nam podejrzane. Przecież na intencje blokujących „Dom Akademicki" w Wilnie studentów odprawiał modły arcybiskup Jabłrzykowski. Przecież nastroje „frankofilskie" w społeczeństwie spotęgowała w sposób bardzo silny paryska wizyta Naczelnego Wodza. Więc...

Tych konsekwencji nie wyciąga oczywiście p. Bączkowski. Chodzi mu oto, aby wywołać wrażenie, że wszystko, co się w Polsce dzieje, może się dziać na rozkaz kominternu. Przywilej wskazywania palcem na fakty konkretne i ludzi pozostawia sobie. Sekunduje dzielnie „IKC", który twierdzi bez ogródek, że wiele urzędów i instytucji państwowych w działalności swej idzie przeważnie nieświadomie po linii wskazań kominternu. Przeważnie nieświadomie, to znaczy, że czasami jednak świadomie.

Chodzi o to, że jeśli kogo nie można napiętnować wyraźnie jako bolszewika, zawsze można go było zaprezentować jako pachołka kominternu. Dawna wypróbowana metoda napaści endeckich, według której, jeśli przeciwnikowi nie można było dowieść żydowskiego pochodzenia i napiętnować, jako żyda, to zawsze można go było nazwać żydowskim pachołkiem.

Jest to metoda politycznego szantażu. Ale szantaż nie jest bronią, którą mógłby wzgardzić front agresywnego kołtuństwa i obskurantyzmu, gdy natrafia na samorzutny lecz zdecydowany front obrony. Niechaj nikt nie będzie pewien, za jaki czyn, za jakie słowo, za jakie poglądy może być napiętnowany, jako sługa kominternu, jako krypto - bolszewik. A sądzić o tym, co jest znamieniem bolszewizmu, niechże będzie przywilejem przywódców frontu reakcji i kołtuństwa.

A p. Bączkowski i inni jemu podobni o skłonnościach i zamiłowaniach konfidentów będą raźnie uwijać się w tłumie i wskazując palcem szeptać swym mocodawcom: „to ten, to ten". Będą po tym występowali jako świadkowie i rzeczoznawcy jednocześnie. Chodzi tylko o stworzenie ram tak szerokich, żeby wszystko i każdego można było podciągnąć pod miano bolszewizmu czy bolszewika.

Wtedy zatryumfuje dyktatura kołtuństwa i jej „Gławnoje Politiczeskoje Uprawlenie", które już potrafi załatwić się z frontem obrony.

Antoni Wieczorkiewicz.

Do przyjaciół „Epoki"

Prosimy o podanie nam adresów osób, którym należy przesłać numery okazowe „Epoki"

JAK RODZI SIĘ WRÓG?

Doświadczenie lat ostatnich dowiodło, że faszyzm, jeśli w formie swej bywa ruchem nacjonalistycznym, to w treści stanowi zjawisko międzynarodowe i powszechne. Napór faszyzmu, poza Włochami i Rzeszą Niemiecką, którymi owładnął całkowicie, daje się odczuwać w różnych krajach z rozmaitą siłą napięcia, w zależności od natężenia walk klasowych, lecz wszędzie ujawnia pokrewne, jeśli nie tożsame pierwiastki u swej podstawy działania. Wszędzie dąży do ograniczenia sił wytwórczych, do upośledzenia i zubożenia żywiołów pracy, do okiełznania chłopstwa i proletariatu, do zniweczenia demokracji w tych jej nawet skromnych rozmiarach, które dały się pogodzić z hierarchią klasową.

Tak. Nie trzeba krwawego przykładu Hiszpanii na to, aby zrozumieć, że faszyzm nie jest wymysłem Mussoliniego lub fantazją Hitlera; że jest to bojowy sztandar, pod którym międzynarodowe wstecznictwo szykuje się do walki z rozwojem i postępem, reprezentowanym przez świat pracy.

Wystarcza spojrzeć w stosunki i konflikty wewnętrzne jakiegokolwiek kraju, aby się przekonać, że faszyzm jest prądem w tej samej mierze międzynarodowym, w jakiej międzynarodowy był i jest kapitalizm. I jest to rzecz zrozumiała. Wszak faszyzm— to nic innego, tylko ostatnia forma wysiłku, desperacka forma wyzysku i gwałtu, jakimi międzynarodowy kapitał w obecnej, schyłkowej fazie swej historii, próbuje utrzymać się przy władzy.

Lecz tu, zaraz na wstępie, nieodparte narzuca się pytanie: dlaczego właśnie teraz, właśnie w dobie dzisiejszej, kapitaliści jednego kraju po drugim zmuszeni się czują uciekać od demokracji i wolności? Czemu chronić się muszą pod tarczę dyktatury? Czemu w pewnej chwili zaczynają werbować i na swym żołdzie utrzymywać kosztowne bandy orężne? Czemu jedyny ratunek widzą w monopartii i totaliźmie państwowym? Czemu — oni, ludzie wyrachowani i skąpi — podejmują nagle najdziksze hazardy, finansując takie marnotrawstwa, jak marsz na Rzym, jak pożar Reichstagu, jak bombardowanie robotniczej dzielnicy Wiednia, lub rewolta generałów hiszpańskich? A przede wszystkim — jacy to są owi kapitaliści, których interesy stają się główną dźwignią faszyzmu?

We Włoszech zarówno jak w Niemczech najpotężniejszymi dostawcami funduszów na organizację i ekwipunek kadrów faszystowskich byli potentaci ciężkiego przemysłu (żelazo, stal, węgiel), z którymi połączyli się wielcy właściciele ziemscy. We wszystkich krajach i we wszelkich okolicznościach magnaci przemysłu, stojący na czele przedsiębiorstw metalurgicznych i górniczych, wyróżniają się swoją postawą władczą, swą żądzą panowania. Ich wola potęgi wyrasta z olbrzymiej miary ich przedsiębiorstw, z przemożnej roli, którą odgrywają w państwie i jego gospodarce. Już w dotychczasowej demokracji parlamentarnej mimo jej formalnego oparcia o powszechne i równe prawo głosowania, wszystko właściwie było na ich usługi. Bo — jakaż, w gruncie rzeczy, mogła istnieć równość obywatelska między właścicielem kopalni, przedstawiającej wartość wielu milionów złotych, franków, lub marek, a najmitą, reprezentującym własność dwojga rąk roboczych? Władza magnatów ciężkiego przemysłu, polegająca na wszechwładzy pieniądza, jakkolwiek rozstrzygająca we wszystkich sprawach istotnych, musiała jednak kryć się za kulisami; była zamaskowana pozorami, które w czasach pomyślności ekonomicznej nie były zbyt dotkliwe i dopiero w czasach kryzysów, kryzysów coraz dłuższych i przewleklejszych, stały się nie do zniesienia. Powszechne prawo wyborcze? Odpowiedzialność rządu przed parlamentem? Kontrola poselska nad administracją i finansami państwa? Rękojmie swobód i praw obywatelskich? Prawo do strajku i zrzeszanie się w związki zawodowe? Wszystkie tego rodzaju zdobycze demokracji mogły — jako nieszkodliwe, ze stanowiska magnatów ciężkiego przemysłu — istnieć póty, dopóki dało się utrzymać pozór, że narastanie bogactw w rękach uprzywilejowanych idzie w parze ze wzrostem skromnego choćby dobrobytu w masach. Ale gdy pozorowi temu brutalny kłam zadały niszczycielskie okresy kryzysu, gdy, zamiast dobrobytu w masach, jęło się szerzyć masowe bezrobocie; gdy powstały miliony ludzi, którzy — już wstępując w progi życia — mają na czołach wyryte straszliwe piętno wyroku, skazującego na dożywotnią nędzę i gorszą od nędzy beznadziejność, wtenczas władcy przemysłu zorientowali się, że stare kłamstwo, aby owocować, wymaga nowych — na teatrze życia — warunków organizacji. I, oceniwszy, że pozory, które im dawniej służyły osłoną, przestały osłaniać wyzysk, zaczęły natomiast krępować wyzyskiwaczy, odrzucili całą misterną sieć parlamentaryzmu i demokracji, jak odrzuca się rokowania, gdy nastaje dzień boju.

Alternatywa, wobec której stoi kapitał dzisiejszy — a przede wszystkim przemysłowy kapitał monopolistyczny — polega na tym, że, wyrzekając się swego monopolu władzy, musiałby przekreślić sam siebie. Nie jest on bowiem w możności spożytkować siły wytwórcze, które sam powołał do życia. Nie potrafi wprząc do warsztatów owych sił pracy, które tają się w milionowych zastępach ludu, głodnych życia, głodnych oświaty i kultury. Na przekór wszystkim wołaniom tych zastępów, kapitał monopolistyczny, obwarowawszy się na kartelach, coraz bardziej ogranicza pole wytwórczości, coraz dotkliwiej zacieśnia koło wymiany dóbr materialnych i duchowych. Rzesze pracownicze, stawione oko w oko z groźbą niepewnego jutra, widzą ze zgrozą, że ta nawet mizerna chudoba, na którą sarkały niedawno, przeistacza się dziś w marzenie o niedościgłym dostatku. Coraz większa liczba młodych i zdolnych jednostek odrzucana bywa poza burtę życia, jako „ludzie zbędni". Warunki bytu wszystkich warstw społecznych, poza coraz szczuplejszą grupą możnowładców finansowych, zasiadających w naczelnych ośrodkach kierownictwa, są podmywane i rujnowane kolejnymi falami przesileń gospodarczych. Potęgujący się ucisk pracy, kładący się ciężarem na coraz mniejszej liczbie ramion zatrudnionych, idzie w parze z obniżeniem zarobku tych nielicznych, z pogłębiającą się pauperyzacją wszystkich.

W obliczu tej zasadniczej tendencji schyłkowej kapitalizmu współczesnego cóż znaczyć mogą przejściowe, zresztą coraz krótsze, fazy t. zw. dobrej koniunktury, między jednym kryzysem a drugim? Cóż,

zwłaszcza, znaczyć one mogą w Polsce, gdzie roczny przyrost ludności, sięgający pół miliona ludzi, w sposób szczególniej ostry kształtuje tragedię bezrobocia? Czyż podobna się łudzić, że najpomyślniejsza koniunktura w obrębie lat kilku zdoła wchłonąć te miliony jawnego i utajonego bezrobocia, które z roku na rok coraz wyższymi kolumnami piętrzą się na tablicach piekącej statystyki, jak okrutne pozycje oskarżenia? W takich warunkach każda myśl twórcza i krytyczna, która spróbuje ogarnąć możliwości techniczne współczesnego świata, wskazać jego utajone bogactwa, drzemiące w niewyzwolonej pracy i energii człowieka, staje się zniewagą dla ustroju, który tej pracy i tej energii spożytkować nie umie i nie może. Zniewagą i wyzwaniem staje się dla jego potentatów i władców.

Myśl ta, z jednej strony, w łonie wzrastającej rzeszy zubożałych, głodnych, bezrobotnych i zagrożonych bezrobociem, t. j. w łonie całego niemal świata pracy, świadomego swego losu i swych zadań, szerzy się pochodnia fermentu, niezadowolenia, gniewu i pożądania nowych, wyższych, uspołecznionych form życia. Z drugiej strony, wśród grup uprzywilejowanych, które czują się skazane, ta sama myśl, płynąca z głębokiej świadomości przeciwieństw, rozdzierających obecną fazę kapitalizmu, jątrzy się niepokojem i trwogą, wyradza się w bunt przeciw postępowi i nauce, przeciw technice i maszynom, wyrodnieje w gotowość powrotu na łono średniowiecza, w tęsknotę za św. inkwizycją, w mistykę, poszukującą Wodza i Zbawiciela, a nadewszystko w ucieczkę pod skrzydła siły fizycznej, choćby tyrańskiej i niszczycielskiej.

Myśl pierwsza, w oparciu o zastępy pracownicze, dąży do demokracji: nie tej kapitalistyczno-mieszczańskiej, która istniała dawniej i która dziś załamuje się w ogniu walki klasowej, ale demokracji ludowej, istotnej, opierającej godność i wolność obywatela na jego zabezpieczeniu gospodarczym. Myśl druga w prostej linii zmierza do faszyzmu.

Jeśli chodzi o władców ciężkiego przemysłu, których decydujący udział w mobilizacji sił faszystowskich podkreśliliśmy już wyżej, to trzeba dodać, że, poza ogólnymi, istnieją też osobne motywy, które ich ku faszyzmowi skłaniają.

Motywy te spoczywają w specjalnym *składzie organicznym* kapitału ich przedsiębiorstw. W przedsiębiorstwach hutniczych i górniczych kapitał stały (włożony w środki wytwórczości oraz w surowce) góruje nad kapitałem zmiennym (służącym do opłacania siły roboczej) o wiele bardziej, niż w innych gałęziach przemysłu. Stąd to wynika, że granice, w których ciężki przemysł może przynosić zyski, są niezwykle szczupłe: z chwilą, gdy ogół hutników lub właścicieli kopalń nie może zużytkować całości swego potencjału wytwórczego, bywa on miażdżony pod ciężarem „stałych kosztów", związanych z amortyzacją ich urządzeń technicznych. Każdy strajk, każda zmowa robotnicza, staje się dla nich groźbą ruiny. Najmniejsza przerwa w pracy pociąga za sobą straty, idące dla nich w miliony. Każde pogorszenie się koniunktury grozi im złamaniem równowagi: nie mogąc tknąć „kosztów stałych", mogą uszczuplać jedynie wydatki na robociznę. Redukcja płacy roboczej — to dla magnatów ciężkiego przemysłu pierwszy i ostatni ratunek w każdej opresji finansowej.

We Włoszech i w Niemczech, zaraz po wojnie światowej, przemysłowcy, aby zapobiec rewolucji społecznej, zmuszeni byli poczynić robotnikom i chłopom cały szereg doniosłych ustępstw; ustępstwa te wszakże w sposób szczególniej dotkliwy zaciążyły magnatom ciężkiego przemysłu. Postanowiwszy z góry, że wszystko, co ustąpili, odbiorą z powrotem w przyszłości, poruczyli oni zwerbowanym i uzbrojonym przez siebie bandom, wyspecjalizowanym w walce z proletariatem, zadanie szarpania chłopów i robotników, ażeby poderwać siłę ich odporu i utorować drogę do odwetu nad nimi.

Wielcy właściciele ziemscy, żyjący z bezgranicznego wyzyskiwania proletariatu rolnego, byli również zmuszeni do „zrzucania balastu" przywilejów, aby utrzymać się na powierzchni. Ażeby odzyskać to, co utracili, z niemniejszą od przemysłowców skwapliwością wzięli udział w popieraniu band zbrojnych.

Wszelako bandy te odpowiedziały jednocześnie też i innej potrzebie: Niemcy, a także i Włochy (mimo ich formalnego uczestnictwa w obozie zwycięzców) znalazły się po wojnie w sytuacji państw zwyciężonych i upokorzonych, wobec mocarstw zwycięskich, nasyconych i tryumfujących. Przemysł ciężki, żyjący głównie z zamówień wojennych, miał w osobie swych władców bezpośredni interes w tym, aby, zapomocą trafnie rozdzielonych zasiłków, zastrzyknąć opinii swych narodów mniejsze lub większe dawki niezadowolenia i protestu przeciw „niesprawiedliwości traktatów". Te zastrzyki niezadowolenia uskuteczniał on, rzecz prosta, ponad głową rządu. Najmocniejsze zaś efekty osiągał wtenczas, gdy judaszowe srebrniki zastrzykiwał wprost do kieszeni band faszystowskich. To powodzenie początkowe utwierdziło władców ciężkiego przemysłu na raz obranej drodze i utwierdzać miało z czasem coraz bardziej.

Wszelako przemysł ciężki nie jest w krajach kapitalistycznych jedynym panem położenia. W krajach tych, jak wiadomo, ostra toczy się walka między przemysłem ciężkim a różnymi gałęziami przemysłu lekkiego, produkującego nie węgiel i nie maszyny, ale przedmioty codziennego użytku. Przedstawiciele lekkiego przemysłu przeciwstawiają się hegemonii właścicieli kopalń oraz hut żelaznych, którzy ściągają z nich dotkliwy haracz w postaci monopolistycznych cen za surowce i maszyny. Ponieważ w składzie ich kapitału nie ma tak wybitnej przewagi kapitału stałego nad kapitałem zmiennym, przeto nie są oni w tej mierze, co magnaci ciężkiego przemysłu, przeniknięci duchem brutalnego władztwa w stosunku do swej załogi pracowniczej. Od metod silnej ręki wolą oni pojednawczą metodę „współpracy klas", „pokoju i solidaryzmu społecznego". Poza tym, przemysł lekki bywa produkcją w znacznym stopniu przeznaczoną na wywóz: już to jedno każe jego kierownikom wspierać politykę zgody i porozumienia w stosunkach międzynarodowych.

W ciągu pierwszej fazy, na początek, magnaci ciężkiego przemysłu używali zbrojnych band faszystowskich jedynie do rozbijania organizacyj i placó-

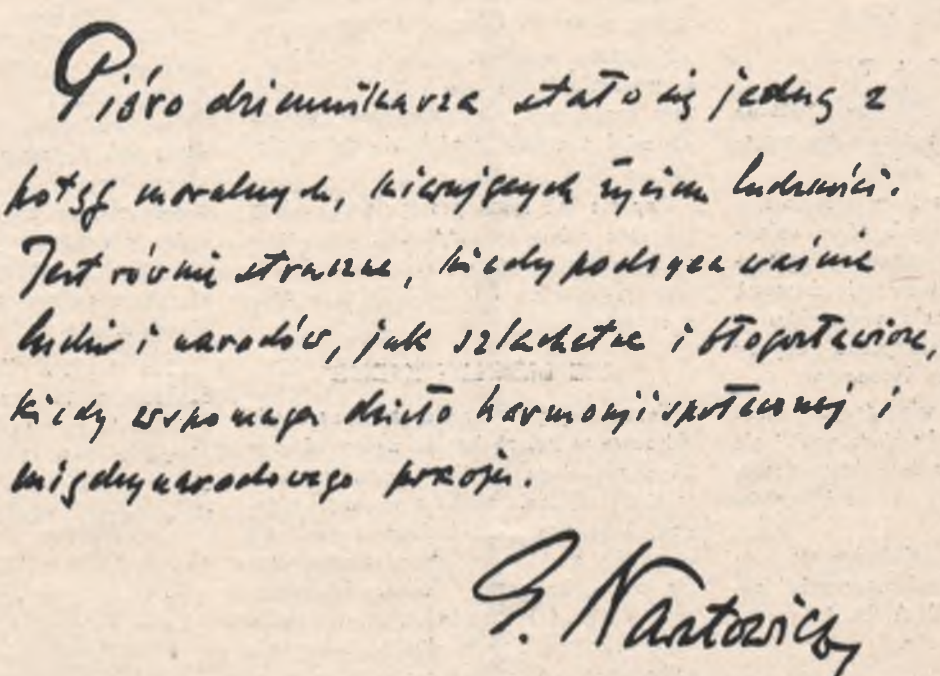
wek robotniczych. Wszelako, w wyniku pogarszającej się koniunktury, nadchodzi dzień, w którym właściciel huty lub kopalni staje wobec groźby zupełnego wyschnięcia swoich zysków: w tym dniu porucza on faszyzmowi nową, o wiele ważniejszą rolę. Jego przedsiębiorstwa nie osiągają „rentowności" bez pomocy państwa. Niechże tedy państwo pomoże mu obniżyć płace robotnicze; niech upaństwowi jego długi, uchyli nacisk podatkowy, zastąpi wreszcie klientelę prywatną obstalunkami rządowymi. We Włoszech wszakże, zarówno jak w Niemczech, dopóki trwały rządy demokracji parlamentarnej, państwo nie było narzędziem bezwzględnie posłusznym magnaterii przemysłowej. Obok niej działały w rządzie także i inne wpływy kapitalistyczne, z którymi przemysł ciężki musiał się liczyć. Nadewszystko zaś, dopóki istniały wolności demokratyczne, liczyć się on musiał z siłami, które, jakkolwiek niekiedy dawały się zwieźć lub przekupić, to jednak tamowały swobodę jego operacyj. Siłami tymi były stronnictwa klas średnich oraz zorganizowany proletariat. Przy zwartym oporze zorganizowanych związków robotniczych trudno jest osiągnąć obniżkę wynagrodzeń pracy najemnej. Wtenczas to przemysłowcy i obszarnicy, przekształciwszy faszystowskie bandy na partię faszystowską, jedyną partię, mającą w państwie prawo obywatelstwa, t. j. na monopartię, wyprawiają ją na podbój władzy, obarczając ją chlubną misją zbudowania państwa silnego, t. j. państwa zdolnego zapewnić murowaną rentowność ich przedsiębiorstwom.

W jaki sposób na tę decyzję odpowiadają kierownicy lekkiego przemysłu oraz pozostający na ich żołdzie politycy? Nie pragną oni, z pewnością, zwycięstwa faszyzmu. Ale nie uczynią nic, aby zagrodzić mu drogę. Faszyzm jest, w ich oczach, ruchem, bądź co bądź, „narodowym"; jest ruchem, podjętym w interesie klas posiadających. Czyż nie zasługuje na życzliwość? Czyż nie należałoby mu ręki podać właśnie w tym celu, aby go obłaskawić i sparlamentaryzować? Ujęty we właściwe tryby — pocieszają się niektórzy przemysłowcy — faszyzm stworzy pożądane wędzidło dla sił proletariatu. I łudząc się i pocieszając w ten sposób, osiągają wreszcie to, o czym wcale nie myśleli: wsadzają dyktaturę faszystowską na konia. W chwili zaś, gdy faszyzm, zdobywszy władzę i opanowawszy armaturę państwową, stał się potęgą samodzielną, która nie może być wysadzona z siodła inaczej, tylko siłą zbrojną, wtenczas przedstawiciele lekkiego przemysłu względy solidarności klasowej przekładają ponad rozbieżności branżowe. Przyjmują dyktaturę faszyzmu, jako fakt dokonany.

W ten sposób zespół sił kapitalistycznych skupia się pod dyktaturą faszystowską. Pełnia żywiołów wyzysku osiąga pełnię władzy w państwie.

A. Grot.

AUTOGRAF GABRIELA NARUTOWICZA



(Pióro dziennikarza stało się jedną z potęg moralnych, kierujących życiem ludzkości. Jest równie straszne, kiedy podsyca waśnie ludów i narodów, jak szlachetne i błogosławione, kiedy wspomaga dzieło harmonji społecznej i międzynarodowego pokoju).

Ze zbiorów prywatnych J. Wasowskiego.

Z DNIA NA DZIEŃ

OŚWIADCZENIE.

Goniec Warszawski pisze, że *Epoka* „uchodzi w sferach dziennikarskich i politycznych za jawny organ lóż masońskich w Polsce".

Gdyby sfery dziennikarskie i polityczne tak sądziły, byłyby w błędzie. *Epoka* nie jest organem masonerii.

MEGALOMANIA.

Wszystkie przeciwieństwa i walki polityczne w Polsce wyglądają, zdaniem *Czasu*, tak:

„Po jednej stronie chrześcijański konserwatyzm, w najszerszym i najwyższym pojęciu tego określenia, — po drugiej bolszewicki komunizm; wszystko, co się kręci i uwija po środku, nie ma sensu i wartości, i prędzej czy później zostanie starte na plewy. Ale każdy musi stanąć na tej pochyłości barykady, do której należy".

Innymi słowy — tylko dwie potęgi: z jednej strony konserwatyzm, z drugiej — „bolszewicki komunizm".

Jak widać samopoczucie mają konserwatyści dobre, ale z ich poczuciem rzeczywistości — nieco gorzej... I jakich ci staruszkowie używają słów: wszystko chcą „zetrzeć na plewy"!.. Stanąwszy „na pochyłości barykady". Co za pozycja!

Coś im uderzyło do głowy. Taki okrzyk: na barykady! — w salonach księcia Janusza Radziwiłła...

Zaiste — niespokojne czasy.

GORYCZ K. A. P.

Katolicka Agencja Prasowa ogłosiła komunikat, w którym znalazło się następujące godne uwagi zdanie:

„Otóż cała ta kampania przeciwko Kościołowi nowych i starych pism wolnomyślnych nie jest podyktowana względami rzeczowymi ani istotnymi obawami, by państwo nie doznało uszczerbku w swych prawach. Totalistyczne zapędy biurokracji do tego nie dopuszczą".

K. A. P. z wyraźną więc goryczą pisze że „totalistyczne zapędy biurokracji" nie dopuszczą, by państwo doznało uszczerbku w swych prawach na rzecz interesów kleru...

Ksiądz Kaczyński powinienby nieco ostrożniej, bardziej „dyplomatycznie" redagować komunikaty K. A. P., żeby szydło nie wyłaziło z worka.

MISTRZOWSKA INSCENIZACJA

Życie bywa nieraz inscenizatorem niegorszym od Leona Schillera.

Alfred Potocki, hrabia na Łańcucie, pan niezmierzonych włości, ciągnących się wszerz i wzdłuż dziesiątkami kilometrów, zaprzątający dla swej obsługi osobistej setki dworzan i lokajów, podejmował niedawno w gościnie maharadżę indyjskiego, przejazdem bawiącego w Polsce.

Teraz, jak donoszą gazety, zjechać ma do Łańcuta drugi gość niemniej dostojny, b. król hiszpański Alfons. Rozpoczną się, oczywiście, znów polowania, bankiety, bale, bale, bale... Prawdziwy karnawał hiszpański na polskim dworze, międzynarodowy zlot puhaczów, taniec kościotrupów wstecznictwa, orgia feudalizmu, butwiejącego w złoconych komnatach.

Gdyby ktoś miał władzę zaklinania całych obszarów naszego życia w kształty symboliczne, czyżby stworzył symbol, jaskrawiej wyrażający ów niesamowity kontrast, jaki leży u podstaw naszej struktury społecznej?

Z jednej strony społecznego muru stoi pałac magnata, goszczący maharadżów i ex-królów, po drugiej — dziecko chłopskie, skazane na analfabetyzm, karleje na łanie dwumorgowej nędzy, w tragicznej obojętności na wszystko, co wykracza poza garnek ziemniaków, gotowanych bez soli na ogniu bez radości.

TRZY CZĘŚCI ŻYCIA

Pewien złotousty kaznodzieja, przemawiając na weselach, wyrobił sobie znakomity szablon.

— Życie wasze — zwracał się do nowożeńców — składać się będzie z trzech części: pierwszej, drugiej i trzeciej.

Napróżno jednak słuchacze oczekiwali na wyjaśnienie tego, co należy przez owe trzy części rozumieć. Złotousty mówca nie miał o żadnej z nich nic do powiedzenia.

Czy nie tak samo postępują ci, którzy ludzkość dzielą na rasy? Jak ów weselny kaznodzieja, wiedzą doskonale, że ras jest tyle a tyle. Ale co wiedzą o nich poza tym?

„DIE DUNKLEN KREISE"

Zaraza wpływów hitleryzmu na życie zbiorowe w Polsce jest aż nadto widoczna w przeciągu ostatnich paru lat. Gdy w pierwszej fazie walki o władzę i pierwszych poczynaniach hitleryzm stroił się w piórka socjalizmu (narodowego), czci dla człowieka pracy, „ludowych" nastawień i t. p., wówczas infiltracji wpływów hitleryzmu do Polski służył przeważnie tylko nurt *antysemityzmu*. Tu bowiem dzięki nacjonalistycznej postawie pewnych kół mieszczaństwa polskiego, wychowywanego od dziesiątków lat przez endecję, łatwo było za pomocą podniecania żydożerstwa przemycać do Polski kult hitleryzmu.

Dziś, w drugiej fazie, gdy już się przeszło poprzez noc 30 czerwca, gdy się nie da już ukryć ani zamaskować tej istnej niewoli, do jakiej trafił niemiecki robotnik (patrz artykuły Janiny Miedzińskiej w życzliwie odnoszącej się do Hitlera *„Gazecie Polskiej")*, — trzeba szukać innych nurtów dla infiltracji tych samych wpływów. To są nurty *klasowe*. Jesteśmy już daleko od okresu, w którym rozpoczęto budować Polskę demokratyczną, ludową. Już byliśmy świadkami wyroku sądowego gdzieś na kresach Polski (zdaje się w wileńskim), w którym sędzia, uzasadniając winę dorożkarza wobec pasażera, motywował tym sposobem, że dorożkarz reprezentuje *niższą, gorszą*, pasażer zaś — *„lepszą"* warstwę. To początek. Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska zniosła tytuły, mitry, stany. Na początku Polski mówiło się „obywatelu".. Ale jakże daleko już jesteśmy od tamtych czasów! Tymczasem „wzory" różnicowania warstw mamy niedaleko, właśnie w Trzeciej Rzeszy. *„Kurjer Poranny"* podał, że w 30-ym zeszycie berlińskiego wydawnictwa „Archiv der Rassenbiologie" ogłoszony jest artykuł majora Zucksland, rozpatrujący bombardowanie z samolotów miast i ich mieszkańców ze stanowiska... polityki rasizmu. Chodzi też tu już nie o rasę semicką, a *o klasowe rozwarstwienie narodu*. P. Zucksland wypowiada się za tym, że do bombardowania *nadają się* lepiej warstwy nieposiadające, uboga ludność w mieście. Rozumowanie współczesnego barbarzyńcy jest takie, że skoro „die dunklen Kreise" skupiają się w ciasnych i przeludnionych dzielnicach, przedstawiają one dogodny teren dla bombardującego przeciwnika, — z punktu zaś widzenia rasizmu należy stwierdzić, *iż metodą tą wytępia się elementy rasowo najniższe*, oszczędzając bogatą ludność, szeroko rozmieszczoną w willowych dzielnicach miasta.

„Die dunklen Kreise" powinny sobie zapamiętać to rozumowanie. Kulturalni zaś ludzie ze wszelkich warstw powinni piętnować tego rodzaju wypowiedzi, jako objaw barbarzyństwa, zagrażający poprostu samemu pojęciu człowieka.

KLERK TOTALISTYCZNY

W krótkim, ale bardzo wymownym artykule polemicznym, zwróconym przeciwko Antoniemu Sobańskiemu, J. E. Skiwski złożył w „Tygodniku Ilustrowanym" hołd totalizmowi.

Ten „klerk", chodzący dotąd samotnie po bezdrożach myśli współczesnej i strzegący zazdrośnie swych własnych stanowisk krytycznych wobec dzisiejszej

rzeczywistości, — naraz olśniony został blaskami faszyzmu. Bez żadnych ogródek J. E. Skiwski oświadcza w swym deklaracyjnym artykuliku p. t. „Warszawka", że „systemy totalne wyrzucają na ulicę pewną ilość agitacyjnej szmiry, ale mają swoje indywidualności, swoich wielkich teoretyków, ludzi głębokich i ciekawych". Ale „warszawscy antytotaliści — Boże, co za zestawienie — piszą dla własnej elity tak samo, jak dla ulicy; zglajszaltowanie to nie taktyka, ale rzeczywisty obraz ich możliwości duchowych. Tradycja to stara: dość przypomnieć sobie gniewne słowa Brzozowskiego o intelektualnym prymitywizmie naszej lewicy".

Wolno p. Skiwskiemu unosić się nad wielkością i głębią umysłową totalistów, a nawet całkowicie podzielać ich punkty widzenia i metody postępowania. Jest to tylko kwestia jego smaku, ale gdy dla wzmocnienia swego credo lub dla poniżenia „lewicy kulturalnej" przywołuje na pomoc Brzozowskiego, to trzeba mu powiedzieć, że popełnia wielką nieostrożność. Bowiem nikt boleśniej nie osmagał „prawicy kulturalnej", niż właśnie Brzozowski, i nikt mocniej niż autor „Płomieni" nie przygwoździł szkodnictwa tego gatunku reakcji społecznej, który dziś właśnie ku hańbie polskiego imienia plugawi naszą rzeczywistość pomiotem totalizmu.

I, powiedzmy za św. Augustynem, że „jeżeli mówienie prawdy jest rozpustą, to bądźmy rozpustnikami" i idźmy za powołaniem się p. Skiwskiego, oddając w imię prawdy głos Stanisławowi Brzozowskiemu, który będąc właśnie heroldem „lewicy kulturalnej", wciąż żałował, że w ręku ma tylko pióro, a nie „rozpalone żelazo do piętnowania dusz":

„Zazdrościć im, czego? — czy zasłużonej hańby, którą kiedyś, gdy społeczeństwo nasze będzie robić rachunek sumienia i bilans własnego życia — imiona ich okryje. Im zazdrościć, im, którzy zawód swój uczynili z rozkradania duszy narodowej, z codziennie dokonywanego na niej skrytobójstwa. To nie frazesy, nie głośne słowa na oślep miotane, to wyraz smutnej, bolesnej, nie dającej się zaprzeczyć prawdy. Coście wnieśli do społeczeństwa, wy, którzy się jego stróżami mienicie, ilu tam was jest obrońców ideału. Wasze ideały: „Polska katolicka i szlachecka" — powiadacie. Nieprawda. Nie jesteście katolikami, nie jesteście Polakami, pojęcia nie macie o tym, czym jest szlachectwo. Znaleźć wasze nazwiska można było wszędzie we wszystkich obozach i kierunkach, gdzie płacono. Umiecie być jednocześnie umiarkowanymi postępowcami, zaciekłymi konserwatystami, antysemitami i obrońcami tolerancji religijnej. Wasze przekonania — to skład prenumeratorów pisma, w którym piszecie... Jesteście produktem rozkładu społecznego i rozkładu tego czynnikiem. Cała wasza działalność — to było niszczenie wiary społeczeństwa w powagę i znaczenie zagadnień w nim powstających, w powagę czegokolwiek... Wszystko co stało się w społeczeństwie, stało się pomimo was lub wbrew wam. Gnębiliście artystów, uczonych, każdy umysł niezależny, wszystko, co mogło zagrażać waszym sytuacjom. Społeczeństwo ginęło, dusza jego karlała, ale cóż wam do społeczeństwa! byle wasze dochody uszczuplone nie zostały. Odznaczacie się podobno w waszych ogniskach domowych cnotami, o których lubicie mówić w nekrologach i artykułach jubileuszowych, ale byliście i jesteście klęską publiczną... Ale jesteście chorobą społeczną, o której milczeć nie możemy, a nie nasza wina, że choroba ta nosi wasze nazwiska.

„Wy w roli oskarżycieli? W szacie pokutniczej, z głową posypaną popiołem możecie jedynie przemawiać do młodego pokolenia. O! gdybyście wiedzieli, jaka piekielna pogarda, jaka nienawiść wzrastała w nas, gdyśmy czytywali za lat młodych wasze kłamliwe, obłudne, nędzne artykuły i powieści, jaki wstyd nam palił czoła, że wy literaturę polską reprezentujecie. O, tylko nie powołujcie się na inne imiona, imiona tych, których całe życie upłynęło na walce z wami. Bezczelność wasza jest tak wielka, że dziś i Aleksandra Świętochowskiego gotowibyście uznać za jednego z waszych, choć poiliście go przez lat tyle żółcią kłamstw i potwarzy. Przecież wy całkiem swobodnie już mówicie o Podkowińskim i Kurzawie, którychście pomordowali. A czyście już zapomnieli wasze recenzje o pierwszych utworach Żeromskiego..." *).

A jak w tym sporze brzmią i tchną prawdą „gniewne słowa Brzozowskiego o intelektualnym prymitywiźmie naszej lewicy", świadczy ten fragment:

„W naszym czysto artystyczno-literackim okresie byliśmy już wrogami wszelkiej obłudy społecznej, wszelkich konwencjonalnych kłamstw. Pragnęliśmy swobody dla siebie i naszej twórczości, lecz nie chcieliśmy nikogo ciemiężyć. Nie po raz pierwszy zdarza się to, że sztuka wyprzedza życie i antycypuje jego zjawiska. Występowaliśmy w sztuce z zasady, że twórca sam o sobie stanowić może tylko i nic prócz niego: dziś zasadę tę rozszerzamy na życie całe, ze wszystkimi jego rozgałęzieniami. Radykaliści w sztuce, gdy zapragnęli być twórcami w życiu, i również nic z siebie samych nie ustępować, znaleźć mogli dla siebie miejsce tylko w obozie postępowym i w szczególności tylko na jego skrajnej lewicy. Nie chodzi tu więc o żaden nowy program, istotnie, chodzi tylko o to, że po powrotnej fali reakcji, następuje fala opozycji i radykalizmu". (Stanisław Brzozowski: artykuł p. t.: „Porachunki", „Głos" 1903 r. str. 311—313).

*) Stanisław Brzozowski obdarzony zmysłem intuicyjnym, jeszcze trafniej rzeczy przepowiedział, niżby sam sobie tego życzył. Bo oto reakcja pasorzytnicza nietylko usiłowała zaanektować Aleksandra Świętochowskiego dla siebie, ale, co gorsza, ta akcja zaborcza dosięga w naszych oczach i ogarnąć zamierza nawet samego Brzozowskiego. Nawet i p. J. E. Skiwski powołuje się na to wielkie imię w walce z „lewicą kulturalną" i jakby chciał je spożytkować na rzecz totalizmu.

REHABILITACJA RASOWA.

Dzieci małżeństw mieszanych, z matki aryjki i ojca Żyda, traktowane są w Niemczech na równi z Żydami. W świetle ustawodawstwa hitlerowskiego pół-żyd jest istotą równie upośledzoną jak „Volljude".

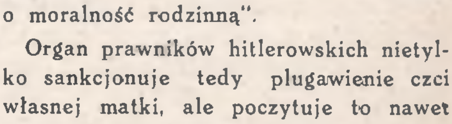
W trzeciej Rzeszy praktykowany jest jak wiadomo, osobliwy proceder oczyszczania się z hańby pochodzenia „pół-żydowskiego". Pół-Żyd składa oświadczenie: moja matka była aryjką, ojciec Żydem, ja jednak jestem dzieckiem, zrodzonym w zdradzie małżeńskiej — matka zdradziła bowiem swego męża z aryjczykiem. Plugawiąc cześć matki, ratuje się własną „czystość rasową". Pierwszym który dał przykład tego rodzaju rehabilitacji rasowej był literat hitlerowski, Arnold Bronnen, syn aryjki i wiedeńskiego Żyda. Bronnen ogłosił publicznie, że choć matka jego była formalnie poślubiona Żydowi,to on Arnold Bronnen zawdzięcza swoje życie wiarołomnemu stosunkowi matki z drwalem, czystym aryjczykiem.

Ten plugawy proceder rehabilitacji rasowej rozważa obecnie ze stanowiska prawnego fachowe pismo *„Deutsche Juristen Zeitung"*.

Rozważania kończy znamienny wniosek:

— „Ze stanowiska narodowo - socjalistycznego donioślejsze jest stwierdzenie faktycznych stosunków krwi, niż troska o moralność rodzinną".

Organ prawników hitlerowskich nietylko sankcjonuje tedy plugawienie czci własnej matki, ale poczytuje to nawet za chwalebną zasługę dla sprawy narodowego socjalizmu.



WATA W PRAWYM UCHU

Polska, jak wiadomo, świeciła nieobecnością w międzynarodowej akcji na rzecz prawa, pokoju i demokracji, zorganizowanej przez kilkuset przedstawicieli parlamentów i uniwersytetów Ameryki, Anglii, Francji, Belgii, Szwajcarii, Czechosłowacji, Norwegii, Szwecji i Turcji, a wyrażonej wysunięciem kandydatury Karola Ossietzky'ego do nagrody pokojowej Nobla. Wiadomo również, że komisja Stortingu, parlamentu norweskiego, który w tej nagrodzie decyduje, uznała ofiarę reżymu hitlerowskiego, męczennika, niezłomnie walczącego o prawo, pokój i demokrację, za całkowicie godnego tego właśnie światowego odznaczenia.

Z punktu widzenia elementarnej sprawiedliwości i równie elementarnej logiki, wybór taki nie może nasuwać żadnych zastrzeżeń. Mógł natomiast nasuwać je ze względów politycznych niejednemu parlamentarzyście i uczonemu owych dziewięciu wymienionych krajów i powstrzymać go od przykładania ręki do akcji, której nie mógłby zaaprobować jego rząd. Mimo to, motywy etyczno-humanitarne, logiczne, a nawet i polityczne, głębsze niż doraźna koniunktura, sięgające w przyszłość Europy i cywilizacji zachodniej, przeważyły widocznie i u takich zwolenników kandydatury Ossietzky'ego.

Mimo wielkich zasług i cierpień tego człowieka, ważniejszy od sankcjonowania ich przez elitę demokracji światowej jest fakt owej *solidarności* myśli i uczuć po przez narzucane duchowi wolności zapory granic państwowych, rasy, wyznania i klas społecznych — fakt pocieszający.

„Epoka" w poprzednim n-rze już zaznaczyła, jako „smutną nieobecność", abstynencję naszych posłów, senatorów i uczonych w złożeniu hołdu — po przez osobę laureata — idei wolności i pokoju. Zastanawiająca jest w tym wypadku najbardziej *„solidarność"* naszej elity, zalatująca — sit venia verbo — jakiemś „zgleichszaltowaniem", metodą równie „przeniesioną z obcego gruntu i na obcych wzorach opartą", jak same prądy komunizmu i skrajnego nacjonalizmu, bardzo słusznie tak właśnie scharakteryzowane przez sen. Śliwińskiego w jego przemówieniu podczas grudniowej debaty budżetowej w Senacie.

Ale byłoby zamykaniem oczu na rzeczywistość, gdybyśmy przeczyli, że owa, nie bardzo z tradycjami demokracji polskiej licująca abstynencja, jest odbiciem dzisiejszych nastrojów znacznej części naszego społeczeństwa.

Premier Składkowski w pierwszym swym wystąpieniu przed Sejmem wypowiedział walkę, zarówno komunizmowi, jak i skrajnemu nacjonalizmowi. Lecz rosnąca z dnia na dzień agitacja żywiołów klerykalnych i antysemickich, a więc *antydemokratyczna*, robi swoje w społeczeństwie.

Jesteśmy świadkami znamiennego zjawiska: oficjalne potępienie, zarówno wschodniej, jak i zachodniej „zarazy totalnej", nabrało innego ustosunkowania, innych proporcyj w traktowaniu *tych dwóch niebezpieczeństw dla Polski* — w świadomości bardzo wielu obywateli Rzeczypospolitej.

Stosunek skrajnej prawicy i skrajnej lewicy jest tu, oczywiście, z góry przesądzony, bo wypływa z ich założeń ideologicznych. Idzie nam tu o żywioły *doniedawna demokratyczne*, t. j. te, na których gmach państwowości polskiej — sądząc z enuncjacyj czynników rządzących — winien się oprzeć.

Baczna obserwacja każe stwierdzić, że odbywa się w naszych oczach stała dezercja przedstawicieli tych żywiołów do obozu społecznej reakcji — pod wpływem antydemokratycznej agitacji, o której wspominaliśmy.

Nie chodzi tu tylko o ton prasy prawicowej, wymyślającej od „żydo-komuny" każdemu, kto nie pisze się na maksymalny program endecki — jak przed laty 30 wymyślała każdemu demokracie od „socjałów".

Krypto-faszyzm szerzy się nagminnie i w środowiskach, które „nie interesują się polityką". Metoda świadomych fałszów, denuncjacyj i oszczerstw, uprawiana bezkarnie przez niektóre dzienniki, wytworzyła atmosferę, w której nie mogą dziwić słowa „nasi lada dzień wezmą Madryt" — jakie niedawno zdarzyło mi się słyszeć w tramwaju. Ten, który to powiedział, prawdopodobnie cieszył się przed 20 laty w tejże Warszawie, że „nasi" (t. j. kozacy Brusiłowa) wzięli Lwów.

Nikt uczciwy temu nie zaprzeczy, iż jeśli dyskredytującym epitetem jest „komunizujący", „sowietyzujący" — zgoła inny moralny ciężar gatunkowy miałby przymiotnik „faszyzujący", czy „hitleryzujący", gdyby go używano.

Poza wszelką akcją czynników odpowiedzialnych, istnieje jakby cicha zmowa, żeby mieć czujne i wrażliwe ucho od strony „zarazy wschodniej", lecz prawe ucho, od strony „zarazy zachodniej", zatykać starannie watą.

Watą, umoczoną w olejku, jeśli nie różanym, to w każdym razie łagodzącym nieprzyjemne odgłosy barbarii nazich.

Watą wyrozumiałości, ...conajmniej.

Przy takich tendencjach tumanionych przez czynniki reakcji głów, zagadnienie *równowagi* w ocenie groźnych zjawisk, szczerzących do nas zęby, zarówno zpoza wschodniej, jak zpoza zachodniej granicy państwa, równowagi, na której oparła się polska racja stanu, — wygląda dość niepokojąco.

W. Rogowicz.

JAK CHCIANO ZROBIĆ ZE MNIE SZPIEGA?

Z NIEDRUKOWANYCH KART PAMIĘTNIKA

Kiedy pisałam swój „Pamiętnik Rewolucjonistki", nie wyzyskałam, rzecz oczywista, wielu wspomnień, które wydawały mi się bez znaczenia dla celów społecznych, jakim w moim pojęciu służy taki pamiętnik. Dziś, po latach, wspomnienia powracają znów z wielką siłą.

W pierwszych miesiącach roku 1913 w Kijowie poszukiwałam płatnego zajęcia, które nie było by jednak zajęciem biurowym. W tym okresie zajęcie w biurze, przez długi szereg godzin, było by wielką

przeszkodą w mojej rewolucyjnej pracy. Poszukiwałam więc raczej korepetycyj lub przekładów. Pewnego dnia — było to w lutym r. 1913, daty nie pamiętam — napotkałam w jednym z pism rosyjskich ogłoszenie, proponujące posadę osobie, która włada językami polskim i niemieckim. Ogłoszenie nie podawało żadnego bliższego określenia owej posady; udać się trzeba było w oznaczonych godzinach popołudniowych, pod podanym adresem w śródmieściu.

Niestety, wypadło mi z pamięci, jaka to była ulica; pamiętam natomiast, że była to paropiętrowa, elegancka kamienica i wchodziło się frontowymi schodami na drugie piętro; drzwi do mieszkania były po lewej stronie schodów. Na dzwonek otworzył mi wysoki, dość tęgi mężczyzna o dość typowej powierzchowności rosyjskiego inteligenta: tak mógł wyglądać zresztą i adwokat, i dziennikarz, i sędzia. Zapytał mnie w drzwiach, czy przychodzę na skutek ogłoszenia w gazecie i wprowadził do pokoju, położonego wprost wejścia. W pokoju, umeblowanym jak gabinet, usiadłam na kanapie, pan zaś ów — na przeciw mnie na krześle, przyglądając mi się bardzo badawczo. Był to człowiek może trzydziesto-kilkoletni: w każdym razie wówczas zaliczyłam go natychmiast do starych, tak jak dziś niewątpliwie uszedł by w moich oczach za bardzo młodego.

—Więc pani zna te oba języki? — zapytał. — Czyżby pani była Niemką? Nie, ale Polką?

— Jestem Polką — odpowiedziałam.

— Mówi pani tak poprawnie po rosyjsku, że nie byłbym tak sądził. Czy pani mieszka stale w Rosji?

Powiedziałam mu w kilku słowach, że mieszkam obecnie w Kijowie, uczęszczam na uniwersytet (w istocie byłam zapisana na uniwersytecie); przedtem mieszkałam w Odesie wraz z rodzicami. Po tych informacjach zapytałam go, jakiego rodzaju zajęcie mi proponuje; czy to będą korepetycje, czy jakaś biurowa praca?

Pamiętam do dziś niemiłe wrażenie, jakie sprawiały oczy, nie schodzące ze mnie ani na chwilę, niezwykle uporczywie przenikające.

— O nie, — odpowiedział — to będzie znacznie bardziej przyjemna i interesująca praca dla takiej młodej, inteligentnej osoby; to będą — podróże! Będzie pani często w drodze... ale gdzie są obecnie rodzice pani?

Bardzo zdziwiona, ale nic nie podejrzewając, odpowiedziałam, że rodzice moi mieszkają obecnie w Krakowie, — chciałabym natomiast bliżej wiedzieć, jakież będą moje obowiązki?

Mój rozmówca rozpromienił się w uśmiechu.

— O, to po prostu wymarzona sytuacja! Właśnie idzie mi o wyszukanie osoby, związanej z Krakowem, Galicją... Pani zajęcie? — No, więc to będzie coś w rodzaju komiwojażerki... Jeżeli pani zasadniczo się zgodzi, wtenczas zostaną omówione z panią detale, — co zaś do mnie, to ja bym się odrazu decydował na panią. To otwarcie pani powiem, ze względu na pani płeć i ogólne warunki...

Przyjęłam to wówczas przez naiwność jako komplement; określenie zaś zajęcia jako komiwojażerki nadawało już przecie cokolwiek bardziej realne kształty całej sprawie.

Otwierałam już usta dla wyrażenia zasadniczej zgody, gdy pan ten, nie spuszczając mnie z oka, spytał w formie twierdzenia:

— Więc ojczulek pani — lekarz, nieprawdaż?

— Ależ nie — zaprzeczyłam z energią — ojciec mój jest profesorem uniwersytetu, dawniej w Odesie, a dziś w Krakowie...

— O, ależ coraz lepiej, miła panienko — zaznaczył coraz uprzejmiej. — No, więc jakże? — spytał, wstając i zaczął przekładać jakieś koperty na stole; w tym czasie mówił: — No, prawda, chce pani znać warunki! Więc 100 rubli miesięcznie, zwrot wszystkich kosztów podróży, — w razie potrzeby — innych ekstra wydatków... Odpowiada to pani? Musi się pani przecież ubierać... — Tu spojrzał krytycznym okiem na mój kostium, który mnie się wydawał szczytem elegancji i który dopiero co sprawiłam sobie za podarowane mi przez wujenkę pieniądze.

Tu właśnie dopiero tknęło mnie jakieś wyraźnie — niemiłe uczucie. — Bardzo dobrze, proszę pana, piękne warunki; ale ja wciąż nie rozumiem, co ja mam robić?... i za co będę tak hojnie opłacana? Co mam sprzedawać czy polecać?

Pan roześmiał się bardzo wytwornie. — Ach, *tak* pani to zrozumiała!! Ale dlaczego pani chodzi już dziś o takie szczegóły, skoro ja się decyduję? — zdziwił się. — No więc, powiedziałem, że to będzie coś *w rodzaju* zajęcia komiwojażera, nie zaś właściwa komiwojażerka... Zajęcie pani będzie polegało na podróżach, obserwacjach życia w Galicji, rozmowach z ludźmi z najróżniejszych zawodów i stanów... Stanowisko ojca pani i pani wychowanie — no i nasze pieniądze — umożliwią pani bywanie w najwyższych kołach społeczeństwa w każdym mieście, w jakim tylko pani zapragnie... Czy to pani nie wystarcza na razie? Przecie to niekrępujące ramy...

Siedziałam w rogu kanapy, zwolna pojmując już, co mi proponują. Oczywiście można było na pewno spostrzec i zorientować się znacznie wcześniej — nie odznaczałam się więc, jak widać w tych odległych latach, zbytnią bystrością umysłu, ani znajomością życia. Na usprawiedliwienie swoje mogę podać, że zaharowana w konspiracji (i to już od kilku lat) nie wysuwałam prawie nosa poza zakres powierzonych mi spraw; nie orientowałam się też dokładnie, że w tym okresie Rosja przygotowywała się do wojny; daleka też byłam bardzo nawet od rozumienia spraw wojskowych wywiadów w każdym państwie w normalnym czasie.

Naciskana przez mego rozmówcę do decyzji, już rozumiejąc, że muszę stąd wyjść jak najprędzej — nie powstrzymałam się jednak od chęci zadania takich pytań:

— To wszystko jest bardzo mgliste! Dla kogo ja mam to wszystko zbierać? Do czego to jest potrzebne?

Coś w tonie moim musiało podrażnić go, gdyż odrazu wyszedł ze swej bardzo opanowanej formy i odparł ostrzej, z patosem:

— To się robi dla Rosji! To potrzebne dla potęgi naszej ojczyzny! Pani będzie pracowała dla państwa!

Z kolei i mnie ogarnęło całkiem niewskazane w takiej sytuacji rozdrażnienie.

— Ależ ja jestem Polką — powiedziałam ostro.— Na wstępie to panu mówiłam... — I jednocześnie myślałam sobie: czy teraz da mi stąd wyjść, gdy już wszystko rozumiem, gdy widzi, że nie chcę? Pamiętam to dobrze, że uczułam strach.

Ale tu on odzyskał całe swoje opanowanie. — To cóż? — rzucił. — To nic nie szkodzi, a nawet

w danym wypadku pomaga! Mamy sporo Polaków... i Polek... Ot, chyba jeżeli pani jest socjalistką, rewolucjonistką,no to pani może taka praca nie odpowiadać... — mówił z ironicznym uśmiechem, patrząc mi prosto w oczy.

Wstałam powoli, obierając instynktownie metodę nie przyśpieszania ruchów. — Nie jestem rewolucjonistką — odpowiedziałam — ale tego się nie podejmę, pracy dla potęgi carskiej Rosji...

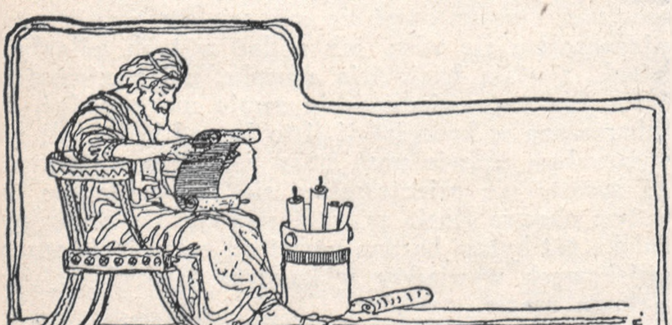
Skierowałam się do przedpokoju, a pan ten, z niezmiennym uśmiechem, grzecznie wyprowadzał mnie. — Jak pani chce — mówił uprzejmie — przymuszać nie mogę... A pani by się mogła nadawać, no i miała by pani wszystko ,co potrzeba młodej kobiecie — toalety, znajomości, wrażenia...

Otworzył drzwi, a jednocześnie wyciągnął do mnie rękę na pożegnanie. Może się pani jeszcze namyśli?

Nie podając mu ręki, wyskoczyłam jak z procy na schody. — Nie! — krzyknęłam już ze schodów, z dziką pasją. — Nie podam panu ręki i skłamał pan, że Polacy...

Schodziłam ze schodów w wielkim przygnębieniu, bo sobie wyobrażałam, że ostatecznie, tu ktoś się zgodzi i że najprawdopodobniej będzie to nawet Polak lub Polka (przecie dla sondowania nastrojów Galicji my byliśmy najodpowiedniejsi). Wtedy nie rozumiałam, że sam fakt poszukiwania takich agentów poprzez ogłoszenie w pismach — wskazywał raczej na brak (lub niedostateczny dopływ) amatorów-Polaków. Oczywiście powiadomiłam zaraz o tym wypadku wszystkie kierownicze ogniwa konspiraji rewolucyjnej, do jakich tylko mogłam dotrzeć.

H. Krahelska



NAJNOWSZE KSIĄŻKI

„NOUS PARISIENS"

Jest w twórczości Boguszewskiej i Kornackiego coś, co przejmuje szacunkiem. Najistotniejszymi, najbardziej zwracającymi uwagę cechami świetnej spółki literackiej są: rzetelność i powaga. Rzetelność rozumnych rzemieślników i powaga prawdziwych artystów.

W odniesieniu do ostatniej powieści Boguszewskiej i Kornackiego „Nous Parisiens" obie te cechy występują może jeszcze jaskrawiej, niż poprzednio.

Tym razem autorzy „Wisły" i „Wozów z Cegłą" nie czynią odkryć środowiskowych. Poddają natomiast drobiazgowemu, nieomal mikroskopijnemu badaniu „szczytowy" skrawek pracy społecznej inteligencji. Element poznawczy, który dominuje w ich poprzednich książkach, objawił się w „Nous Parisiens" w formie subtelnej i głębokiej analizy psychologicznej.

Zdumiewająca jest „widzialność" postaci tej książki. Zdumiewająca tym bardziej, że autorzy zaoszczędzili nam całkowicie opisów twarzy, wzrostu, tuszy, koloru oczu i t. d. To jest właśnie tajemnica „sposobów" literackich Boguszewskiej i Kornackiego: osiąganie najefektowniejszych rezultatów, przy pomocy, zdawałoby się, najprostszych środków.

Jakaś rozmowa, jakaś, z pozoru, codzienna, powszednia sytuacja, jakiś, schwytany na gorącym uczynku, odruch psychiczny — oto są środki, którymi operują autorzy „Nous Parisiens". Dysponują tymi środkami oszczędnie, prawie skąpo, dozując je w ilości takiej, która jest niezbędnie potrzebna „w danej sytuacji i o danym czasie" (jak by powiedziała pani doktór Salomea Groer).

Konstrukcja powieści jest celowa i lekka, jak konstrukcja nowoczesnego budynku. Tytuły rozdziałów, to imiona centralnych postaci powieści: Weronika, Lea, Klaudiusz, Cyprian, Salomea. To członkowie dwu rodzin: pańskiej — Hrykiewiczów i lokajskiej — Aktylów. Ci ludzie są ze sobą sprzągnięci jakimiś niewytłumaczalnymi, przez całe pokolenia ciągnącymi się zależnościami, których zapewne nikt z nich nie potrafiłby wyjaśnić. Plączą się wzajemnie w jakieś nikomu niepotrzebne przysługi w jakieś sympatie i nienawiści. Oprócz tych pięciu przebogatych typów powieściowych, przewija się przez karty „Nous Parisiens" cała galeria postaci żywych, nieomal znajomych... Ale nie chcę robić plotek. Wspomnę tylko o znakomitej postaci chłopskiego pisarza Głoska, o jego milczącym, a czynnym „adiutancie", o bezrobotnym Czarnieckim, który mówi o sobie, że pochodzi z tych Czarnieckich, co to „ani z soli ani z roli"....

„Nous Parisiens" to powieść nawskroś współczesna i aktualna.

*) *H. Boguszewska i J. Kornacki.* Polonez: Tom I „Nous Parisiens". Nasza Księgarnia. Warszawa 1936.

N A U C Z Y C I E L E *)

Młody, pełen zapału, rozmiłowany w swym zawodzie nauczyciel, obejmuje posadę w szkole średniej na dosyć podłej prowincji (...,„bram cztery ułomki, klasztorów dziewięć i gdzieniegdzie domki..."). Dyrektor szkoły i większa część „ciała nauczycielskiego", to zakuci reakcjoniści. tępe łby, karierowicze. Reszta, to ludzie zdziwaczali, znużeni, a przede wszystkim, potwornie znudzeni swoim „rzemiosłem".

Bohater powieści Łukasiewicza, polonista Ładowski, szamoce się bezskutecznie w atmosferze wstecznictwa i rutyny. Trwa ta walka cały rok szkolny, poczym Ładowski zostaje wyrzucony z posady, jako „niepożądany element". Ten sam los spotyka doskonałego nauczyciela matematyki, który, nie tylko „podważał system szkoły" ale, co jeszcze gorsze, odznaczał się niepewną „kondycją rasową".

*) *Stanisław Łukasiewicz:* Nauczyciele. Powieść. Warszawa 1936. Nakładem Księgarni F. Hoesicka, str. 448.

Powieść Łukasiewicza jest równie szlachetna w tendencji, jak nieudolnie napisana. Frapująca tematyka, świetny, jako tło do powieści, nastrój nudy i beznadziejnej martwoty prowincjonalnej, — wszystko to ginie, gubi się w powodzi gadaniny, monologów, „pryncypialnych" rozmów i wielostronicowych przemówień. Autor nie wie, lub nie chce wiedzieć, że powieściowe, artystyczne przedstawienie, np. zebrania rady szkolnej nie musi polegać na przytoczeniu „in extenso" wszystkich przemówień.

Kilka scen erotycznych, doczepionych zresztą sztucznie do fabuły powieści, ma, zdaje się, stanowić pewnego rodzaju premię dla czytelnika. Niestety, „erotyczne wyczyny" Ładowskiego imponują tylko „ilościowo". Jakość ich artystycznego przedstawienia jest tego rodzaju, że nadaje im (napewno wbrew intencjom pana Łukasiewicza) przykry i groteskowy posmaczek.

„Nowoczesność" tej powieści polega, między innymi, na poruszeniu tematu dość drażliwego. Chodzi mianowicie o erotyczny, do pewnego stopnia, stosunek, jaki wytwarza się pomiędzy nauczycielem a poszczególnymi uczniami. Nie jest to łatwe zagadnienie. Utalentowany pisarz potrafi na tym tle tworzyć pełne artystycznej dynamiki sytuacje i konflikty. Pan Łukasiewicz jest zapewne wytrawnym pedagogiem, ale niestety nie jest pisarzem-artystą.

Intencje autora „Nauczycieli" mogą budzić tylko szacunek. Poruszenie bagna, w którym po uszy tkwi kierownictwo większości szkół średnich, napewno nie pozostanie bez jakiegoś echa. Nauczyciele szkół średnich powinni dostać do rąk książkę Łukaszewicza. Mogą ją potraktować jako studium społeczne i odnieść się do niej jak najpoważniej.

Przeczytanie tej powieści zaleca się usilnie wszystkim byłym wychowankom Szkoły im. Vetterów w Lublinie. Będą mieli przyjemne zadośćuczynienie. Zostali pomszczeni!.

Bolesław Piach.

UROK PRZESZŁOŚCI

Książka Aleksego Rżewskiego p. t. „Szlakami walki i buntu"*) zawiera wspomnienia z burzliwego i przełomowego okresu od 1905 aż po ostatnie niemal lata.

Aleksy Rżewski, dzieląc się tymi wspomnieniami, miał na celu poza chęcią utrwalenia ich w druku dla użytku przyszłych monografistów „czerwonej" Łodzi, także oddziałanie na teraźniejsze pokolenie, dla którego rzeczy te — jak powiada — mogą być „nauką", a często i groźnym „memento".

Bogactwo przeżyć rewolucyjnych Aleksego Rżewskiego, pasmo ofiarnych jego wysiłków w wieloletniej walce z obcą przemocą, — stanowią pełen uroku obraz płomiennego idealizmu, który jednakże już nie zdoła, zapewne, pobudzić wyobraźni, ani krwi do żywszego krążenia w żyłach dojrzewającego pokolenia. Rzeczy te, niby bardzo szacowne pamiątki, należą już tylko do przeszłości.

Książka Aleksego Rżewskiego jest świadectwem duszy walczącego człowieka i jednocześnie dokumentem czasów minionych.

*) *Aleksy Rżewski:* Szlakiem walki i buntu. Wspomnienia walk rewolucyjnych z trójzaborcami. Łódź 1936. Nakładem księgarni S. Seipelt.

FILM

„BĘDZIE LEPIEJ..."

W filmie „Będzie lepiej" po raz pierwszy wystąpili dwaj polscy aktorzy komediowi, którzy grają naturalnie. Szczepko i Tońko mają szczery, niewymuszony humor, który można bardzo dobrze spożytkować w filmach komicznych. Najlepsze były tu te dialogi i sceny, w których znać „poprawki" tych lwowskich artystów. Dobry był również Sielański i Fertner.

Znać pracę dekoracyjną Rotmila i Morrisa. Dużo rzetelnych możliwości zmarnowano w realizacji tego filmu, który nie wzniósł się po nad poziom rodzimej farsy. Bo film, chociaż nosi nazwę komedii muzycznej jest raczej kiepską farsą — i w dodatku komplikacją najróżniejszych filmów zagranicznych.

Metamorfoza pana z brodą w pięknego młodziana — żywcem wzięta z „Raju podlotków" Camaća. Momenty, w których Waszyński chce, oczywiście bez powodzenia, naśladować Clair'a (fabryka i t. d.) w „Będzie lepiej" tylko denerwują. Przyjęto tu również straszliwą manierę amerykańskich „komedii" muzycznych — zwyczaj ten śpiewania „ni stąd ni zowąd" i pojawiania się głosu skrzypiec, podczas kiedy artysta śpiewa i gra na fortepianie. Biorą się skądciś takie diabelne skrzypce i „pomagają". Dobrze, że po tym nie ukazały się jeszcze dziesiątki „girls", tańczących w świetle reflektorów.

Szkoda, że Szczepka i Tońka wtłoczono w role „patpatachonowato-filoflapowate". Ci artyści mają dosyć własnego lwowskiego humoru, humoru, który i tak przebił się przez zapory scenariusza.

Zresztą, żeby z filmu „Będzie lepiej" uczynić coś naprawdę dobrego, trzebaby zmienić całą fabułę. Bezmyślność przewodnia filmu da się ująć mniej więcej tak: „Kto będzie sobie śpiewał, temu będzie lepiej. A jeżeli ci już będzie lepiej, to postaraj się, żeby było gorzej". Można przy tym śpiewać piosenkę p. Warsa:

A my — oba cwaj,
ni mamy nic i mamy raj —
Nam nic nie zrobi zło,
Bo trać, jak niemasz co!!!"

„Będzie lepiej" nie pozostaje w tyle za amerykańskim filmem p. t. „Rewolucja śmiechu", gdzie scenarzysta wynalazł niezwykłe „lekarstwo na kryzys".

Kazał „wypędzać kryzys" śmiechem. Przy tym wszystkim film ten był ogromnie ponury i napewno przyczynił się do pogłębienia tego kryzysu, który nie dotykając branży filmowej, zepchnął dużą część filmów do poziomu „Rewolucji śmiechu". Twórcy bowiem tego filmu znaleźli licznych naśladowców.

O filmach tego rodzaju nie należałoby wogóle pisać, gdyby nie to, że są one objawem jakby jakiejś epidemii, która obniża poziom kinematografii, że bzdura stała się wytworem masowym i strawą kulturalną setek tysięcy ludzi.

K. L.

KIM JEST TWOJA MATKA?*)

Takie pytanie z nieodpartą siłą ciśnie się na usta pod adresem pp. studentów przy rozważaniu ich postępków w owym żałosnym listopadzie. Czy to podczas „blokady" uniwersytetów, czy podczas licznych zajść na terenie innych wyższych uczelni, czy też po prostu na placach i ulicach miasta.

Pisano o tym różnie, wspaniale i jezuicko ,za wiele i... za mało. Były drukowane rezolucje kilku organizacyj, potępiające zachowanie się „przyszłości narodu", ale pomiędzy tymi organizacjami nie było tych, które przede wszystkim powinny były zabrać głos w obronie tak bardzo sponiewieranych wartości kulturalnych, których, wydaje się, ta młodzież zupełnie nie rozumie i nie docenia.

Nie było tych organizacyj, które powinny były z samego tytułu swego charakteru, swej „ideologii" uderzyć na alarm, sygnalizując zdziczenie tak wielkie że każdemu obywatelowi, nie zaślepionemu, nie pogrążonemu we własnych tylko kartoflanych frasunkach, przyszłość nasza w ciemnych rysuje się kolorach.

Któż to bowiem są ci przyszli adwokaci, lekarze, inżynierowie, profesorowie i t. d.? Któż są ci, co wezmą na swoje barki pracę około utrzymania i dźwignięcia tego dziedzictwa, które nazywa się państwo polskie?

Kimże będą, mając lat czterdzieści, którzy jako młodzieńcy dwudziestoletni, objawili zanik najelementarniejszych uczuć ludzkich?

Powiedział pewien bardzo mądry mąż stanu: „kto, mając lat dwadzieścia, nie był socjalistą, ten mając lat czterdzieści będzie świnią".

Chodzi tu oczywiście o stwierdzenie tego, że najistotniejszą, najcharakterystyczniejszą cechą młodości, tego okresu „burzy i naporu" jest pewien ideał humanitaryzmu. Bez tego znamienia, jakie wyciska na człowieku młodość — wiek dojrzały to na pewno wiek marny, wiek klęski

I oto nasi dwudziestoletni młodzieńcy napadają w kilku i w kilkudziesięciu na bezbronnych kolegów Żydów, nasi dwudziestoletni młodzieńcy zachowują się jak ciemna dzicz, demolują drogocenne urządzenia swoich czcigodnych uczelni, nabyte i inwestowane, wiadomo z jak wielkim trudem.

Nasi dwudziestoletni młodzieńcy apelują przez swoje rodzicielki, jak to było w Poznaniu do miłosierdzia... współobywateli. A jakże. W czasie katastrofalnej nędzy, w czasie wytężenia wszystkich sił na pomoc zimową restauratorzy miejscowi posyłają zdrowym byczkom tysiące najwykwintniejszych obiadów, setki zajęcy, olbrzymie tace tortów i ciastek — o wódkach i winach nie wspominajmy. W Zagłębiu, na kresach, ach i tu u nas, niedaleko, puchną z głodu dzieci, nędza jest wręcz nieopisana. Ale tam nie demolują, tam nie biją, tam nie skamlą o żarcie. Czyni to „kwiat inteligencji".

Kiedy to piszę, mam przed oczami tego rodzaju scenę: przed bramą uniwersytetu leży zlany krwią student Żyd. Pochyla się nad nim i ociera wodą twarz inny student, chrzejścijanin — w pewnym momencie rozlega się z wielu piersi pełen oburzenia i drwiący okrzyk: „samarytanin, żydowski wojtek".

Inna scena: na stopniach tramwaju na przystanku stoi stary siwy człowiek, także żyd — w oka mgnieniu podbiega dwu korporantów i ściąga go za nogi z wozu, człowiek pada na jezdnię, o mały włos nie pod tramwaj.

Jeszcze jeden obrazek, — a raczej rozmowa dwu studentek na ulicy. Oczy rozognione, wyraz nieomal szczęścia na twarzy i takie słowa: „wiesz, porozbijaliśmy wszystko, ja sama zrzuciłam ze ścian, potłukłam, podeptałam każdy obrazek, każdy wykres, każdą tablicę".

Stoję, oczom i uszom nie wierzę. Młode to przecież, nie wygląda na wychowane na ulicy. Ci wszyscy „bohaterowie" pochodzą przeważnie z t. zw. dobrej sfery, ktoś tam przecież wpajał w nich jakieś zasady, jakieś elementarne zasady, no, choćby tylko poszanowania publicznej własności.

I oto w konsekwencji ciśnie się natrętne pytanie: „Kim jest twoja matka?" Czy rzeczywiście jej wpływ, atmosfera domu była tak mizerna, tak nic nie znacząca, że przy pierwszej próbie, rozwiały się jak pył wszelkie imperatywy kategoryczne, wszelkie nauki?

Czy rzeczywiście tylko wpływowi środowiska, i naciskowi ze strony wodzów „duchowych" przypisać należy wandalizm i bestialstwo pewnego odłamu „kwiatu inteligencji".

Więc to tak kształtowano ich charaktery, ich morale, że byle demagog, byle agitator, byle koleżka mógł zniszczyć pracę wychowawczą domu, długie lata trwającą?

Nasuwa się raczej tragiczne przypuszczenie, że to dom, a więc na sam przód matka urabiała grunt podatny pod zgubne i jakże nikczemne wpływy.

Na potwierdzenie tego nasuwa się fakt, który zdarzył się parę tygodni temu w pewnym gimnazjum.

Profesor języka polskiego przeprowadził w czasie lekcji pomiędzy uczniami ankietę na temat: Jestem za, czy przeciw studentom blokującym uniwersytet i dlaczego? Na 40 blisko chłopców tylko trzech opowiedziało się przeciw blokadzie. Jakież to wymowne! Przecież to chłopcy dwunastoletni, a więc dzieci jeszcze, wynoszące najwidoczniej z domu uczucia nienawiści, chamstwa i kompletny brak kultury. Jakże żałośnie wygląda również i rola szkoły, która wszakże ma w programie wychowanie obywatelskie, na które kładzie się tak wielki nacisk.

Czyż można to, co się działo na wyższych uczelniach położyć tylko na karb „rozpalenia namiętności", „młodzieńczego temperamentu" a nawet „psychozy buntu" etc., jak to w różnych pismach pisano? Czyż te ekscesy, świadczące o kompletnym wandaliźmie, dadzą się podciągnąć pod aż tak piękne definicje, jak „młodzieńczy temperament"?

Ponure pomieszanie pojęć, daltonizm moralny, przerażający.

Daltonizm (powiedzmy delikatnie), naszych „matek Polek" wręcz tragiczny.

Myślę, że nauczyciel, który omawiał z młodzieżą te sprawy w szkole, uczynił bardzo słusznie, utrafił w istotę zasady wychowania obywatelskiego.

Myslę również, że we wszystkich szkołach należało te fakty umiejętnie i odpowiednio oświetlać ze stanowiska kulturalnego, podkreślając nieszlachetne sposoby i środki dążenia do celu naszych rodzimych „alkazarczyków". Bo chodzi przede wszystkim o metody walki; o metody postępowania no i o moralność tych metod.

A tutaj to już wpływ domu ujawnił się znakomicie

Sądzę że nasze znane i cenione matki — Polki nie zdały egzaminu, wychowawszy tak swoich synów, stworzywszy atmosferę, w której mogą się lęgnąć takie uczucia, jakie znalazły ujście w dniach listopadowych i w takiej formie.

Już nazbyt często słyszy i mówi się o „misji" kobiety o „roli" kobiety w koniecznej naprawie świata, przez który idzie wszakże utajone pragnienie uczłowieczenia człowieka, wydobycie się spod supremacji groźnego, i wszystko niszczącego chamstwa.

Czy zatem matki, wychowujące tak swoich synów, mają prawo do szacunku społeczeństwa, spełniają rolę, przynależną przede wszystkim kobiecie: cywilizowania obyczajów? Czy mają prawo należeć do szlachetnej „zmowy" tych wszystkich, dla których wartości wyższego rzędu, jak poszanowanie godności człowieka, jak cześć dla nauki, jak rycerskość w walce z przeciwnikiem, nie są pustym frazesem?

Czyż te matki, które tak broniły swoich synów przed konsekwencjami ich niepoczytalnych czynów, zastanowiły się nad działaniem wychowawczym swego kroku? Ktoś, kto się naraża dla ... „idei" musi z góry wiedzieć że za ideę się cierpi, że za darmo nic nie ma na tym najlepszym ze światów.

Czy te matki zastanowiły się nad tym, że skoro ich synowie przez nie wychowani... dojrzeli do tak rycerskich popisów, jak incydent z prof. Wolfke, że skoro ich synowie dojrzeli do deptania najwyższego dla nich autorytetu, autorytetu czcigodnego profesora, tak bardzo zasłużonego dla nauki polskiej i europejskiej, to czyż ta młodzież uchyli czoła przed jakimkolwiek autorytetem w ogóle a więc matek przede wszystkim?

Rozpętano najniższe instynkty, nazywając to walką aż... o świętą sprawę; pasowało się tę młodzież, co najmniej na rycerzy i obrońców chrześcijaństwa, a potem poszło się biadolić o uwzględnienie ich młodego wieku, niedoświadczenia etc.

Tak wyglądają zasady, hart ducha naszych rodzimych Spartanek. Czy nie należałoby pomyśleć, że ta młodzież, dojrzawszy kiedyś naprawdę, pogłębiwszy swój światopogląd, odwróci twarze od swoich matek właśnie, i pierwsza je osądzi surowo? Obawiam się, że runie wówczas jeszcze jeden autorytet, i że runie pod ciężarem własnej winy, tej winy najcięższej, jaką rodzice popełniają wobec własnych dzieci.

Janina Strzelecka.

---

*) Przedruk z „Kuriera Porannego" — z upoważnienia autorki.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

GERMANIZACJA HISZPANII.

Z pouczającej w *„Manchester Guardian Weekly"* p. t. „Germanizacja Hiszpanii", przytaczamy parę najciekawszych wyjątków:

— „Sewilla, przyszła stolica Hiszpanii jest pełna życia. Napróżno szukam pokoju hotelowego. Wszystkie hotele przepełnione. Zajmują je Niemcy i Włosi, dyplomaci, lotnicy, dziennikarze i przyszli żołnierze armii gen. Franco. Hitler i Mussolini przysłali do Sewilli z Salamanki najlepszych fachowców w dziedzinie propagandy.

„Deutschland über Alles" i „Giovinezza" rozlegają się z głośników radiowych.

„Cała prasa i propaganda znajduje się w rękach Niemców. Francuscy i amerykańscy dziennikarze zostali przepędzeni. Głównym doradcą generała Mola jest Niemiec, którego nazywają Don Walter.

„Od miesiąca więziony jest dziennikarz Aznar, oskarżony o... wystąpienie antyniemieckie z czasów wielkiej wojny.

„Dla zdobycia Madrytu gen. Franco musiał się zgodzić na germanizację swych miast. Do niedawna Maurowie przeciągali ulicami Sewilli. Zniknęli. Zastąpili ich blondyni z północy.

„Poparcie Niemiec jest coraz większe, jak przechwalają się sami powstańcy. Jakich poświęceń zażądają jednak Niemcy, jeśli dzięki nim Franco wygra wojnę? Generał Franco wciąż zaprzecza, jakoby mowa była o ustępstwach terytorialnych. Czy nie jest jednak możliwe, że nadmiar ludności Niemiec zapełni w przyszłości hiszpańskie miasta i wieś? Czy Hiszpania — w razie zwycięstwa powstańców — nie przeistoczy się w kraj pól i fabryk, zarządzanych przez Niemców, w niemiecką kolonię przemysłową, dostarczającą Rzeszy niezbędnych surowców?

„Żadne posunięcie generała Franco nie może być uczynione bez zezwolenia Niemiec i Włoch".

GWAŁCENIE PRAW AZYLU

W *Holandii* wykroczono znów w sposób rażący przeciw zasadzie prawa azylu. Aresztowano trzech politycznych emigrantów niemieckich, nazwiskiem Herman Strozka, Kasper Wessers, Paweł Salemka, uzasadniając ich areszt brakiem dokumentów, oraz brakiem środków utrzymania. Aresztowani zastosowali głodówkę, protestując w ten sposób przeciw ich uwięzieniu oraz przeciw metodom ich traktowania: zakazano im czytania pism oraz pozbawiono wody do picia.

W *Austrii* na prośbę rządu Jugosławii aresztowano przed czterema miesiącami emigrantów politycznych — jugosłowian, nazwiska: Lovro Kuhar, Iwan Maricz. Modomel, Kidricz, Srjan Pritza, Maruszicz, Mikołaj Tzarvenczicz. Grozi im wydalenie do Jugosławii.

Z *Paryża* komunikują, że wiadomość o Oldze Benario Prestes, wydalonej do Niemiec wraz z Elizą Ewert i tam uwięzionej, była nieścisłą: p. Prestes jest obecnie w ostatnich dniach ciąży i oczekuje rozwiązania w więzieniu, nie była zaś — jak podawano uprzednio, przy deportacji odłączona od niemowlęcia.

OSSIETZKY — NIEOBECNY.

Król Szwecji wręczył w Sztokholmie nagrody pięciu laureatom Nobla:

Henry Hallett Dale'owi i Ottonowi Loewi, odznaczonym nagrodą Nobla w dziedzinie medycyny i fizjologii, Hessowi i Andersonowi — laureatom w dziedzinie fizyki oraz Piotrowi Debye, laureatowi chemii.

Nie przybyli do Sztokholmu dwaj laureaci z za oceanu, O'Neill i Saavedra Lamas, oraz *Karol Ossietzky, dotyczas przebywający w Niemczech.*

SŁUSZNE PROTESTY.

Związek Żołnierzy Żydów Uczestników Walk o Niepodległość Polski przesłał na ręce p. Marszałka Sejmu depeszę treści następującej:

„Imieniem oficerów i szeregowych Żydów, uczestników walk o Niepodległość Polski składamy na ręce p. Marszałka gorący protest przeciw oszczerstwu, rzuconemu z trybuny sejmowej przez posła Budzyńskiego, które stanowi pohańbienie pamięci poległych za Polskę towarzyszy broni i obrońców honoru polskiego żołnierzy Żydów".

Podpisany prezes Zarządu Głównego: L. Bregman oraz prezesi okręgowych związków: Leopold Spira, dr. Zirler, Al. Nowik, St. Pflaum, inż. J. Lichtenstein, J. Goldberg i adw. H. Kanarek.

Protest ten został wywołany bezpośrednio następującym ustępem mowy posła Budzyńskiego: „Jestem antysemitą, gdyż jestem antydezerterem, a każdy semita ucieka z pola walki".

Równocześnie u posła Budzyńskiego zgłosili się dwaj sekundanci, którzy zażądali odeń satysfakcji honorowej w imieniu pięciu oficerów Żydów, legionistów i kawalerów orderów Virtuti Militari i Krzyża Niepodległości.

Zarząd Główny Zjednoczenia Związków Żydowskich Inwalidów, wdów i sierot wojskowych R. P. wysłał do p. marszałka sejmu telegram treści następującej:

„Do Pana Marszałka Sejmu Stanisława Cara, Warszawa, Sejm.

Żydowscy inwalidzi wojenni Rzeczypospolitej Polskiej zakładają na ręce Pana Marszałka jaknajgorętszy protest przeciwko niesłychanej obeldze, rzuconej z trybuny sejmowej przez posła Budzyńskiego, jakoby żydzi uciekali z pola walki. Ciężkie rany i kalectwo tysięcy żydowskich inwalidów wojennych oraz niezliczone rzesze wdów i sierot po żydach żołnierzach poległych na polu chwały są żywym dowodem, że rzucona obelga i insunuacja jest ciężką krzywdą dla nas oraz pohańbieniem pamięci poległych towarzyszy broni".

Równocześnie analogiczny telegram wysłało do marszałka sejmu 65 oddziałów prowincjonalnych Związku żydowskich inwalidów wojennych.

NA CELE NAUKI.

Podsekretarz stanu dla spraw naukowych we Francji, światowej sławy fizyk i laureat Nobla, Jean Perrin, ogłosił w prasie, iż rząd przeznacza na cele nauki francuskiej w roku 1937-ym 41 milionów franków więcej, niż w roku ubiegłym.

Budżet nauki francuskiej zostaje po raz pierwszy zwiększony o tak znaczną sumę.

Z owych 41 milionów — 11 będzie obróconych na utworzenie nowych placówek badawczych oraz zasiłki i pomoc dla pracy naukowej.

15 milionów przeznaczonych będzie na rozszerzenie działalności i rozbudowę laboratoriów Sorbony, Instytutu Pasteura i pokrewnych placówek w Paryżu i na prowincji. 15 milionów przeznacza się też na zorganizowanie i wyposażenie pracowni naukowych, bezpośrednio podlegających podsekretarzowi stanu, Jean Perrinowi, na nagrody za pracę badawczą, na rozwinięcie wydawnictw naukowych oraz kredyty dla francuskich wypraw do odległych, mało zbadanych krajów.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Wacławowi R. w Kielcach. Prosimy o nadesłanie rękopisu.

Panu J. L. w Przemyślu: Nie do druku.

Panu Leonowi R. w Piotrkowie: Skorzystamy z tych materiałów.

Pani Czesławie Z. we Włocławku: Dziękujemy, przesłaliśmy.

Panu Aleksandrowi M. w Łucku: Nie możemy opierać się na pogłoskach.

Panu Edwardowi R. w Kołomyi: Utworów scenicznych nie zamieszczamy.

Pani Jadwidze Z. w Częstochowie: *Epoka* ukazuje się dwa razy miesięcznie z datą 5 i 20 dnia każdego miesiąca.

Pani Marii W. w Grodzisku: Nie możemy zamieścić.

Panu Zdzisławowi L. w Grodnie: Mylł się Pan. Było szereg energicznych wystąpień przeciw żydożerczej barbarji. Z mądrym i szlachetnym protestem wystąpili w różnych pismach m. in.: Maria Dąbrowska, prof. Tadeusz Kotarbiński, Wincenty Rzymowski, prof. Jan Czarnowski, Wacław Rogowicz, Halina Krahelska, prof. Zygmunt Szymanowski, Jadwiga Strzelecka.

Panu Wacławowi K. w Katowicach: Nie możemy drukować tak obszernych rozpraw.

Pani Stanisławie G. w Przemyślu: Wysłaliśmy wszystkim. Dziękujemy.

Panu d-rowi Janowi W. w Warszawie: Poruszymy tę sprawę w jednym z najbliższych numerów *Epoki.*

Panu Jerzemu B. w Płocku: Nie dla naszego pisma.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Sydor Rey: Kropiwniki. F. Hoesick. Warszawa 1937.

Jerzy Hulewicz: Córa Oxymoronu. Skład Główny: Dom Książki Polskiej. Warszawa 1937.

Pola Gojawiczyńska: Rajska jabłoń. Wyd. „Rój". Warszawa 1937.

Arkady Fidler: Kanada pachnąca żywicą. Wyd. „Rój". Warszawa 1937.

Gustaw Morcinek: Inżynier Szeruda. Wyd. „Rój". Warszawa 1937.

Lytton Strachey: Królowa Elżbieta i Hrabia Essex. Wyd. „Rój". Warszawa 1937.

Juliusz Kędziora: Marcyna. Wydaw. „Rój". Warszawa 1937.

Jan Las: Cienie nad kołyską. Wyd. „Rój". Warszawa 1937.

Fr. Mauriac: Życie Jezusa. Wyd. „Rój" Warszawa 1937.

Bolesław Limanowski: Pamiętniki. Wyd „Rój". Warszawa 1937.

Alina Segen: Anna. Powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1936.

Henryk Ułaszyn: Tytus Benni (1877—1935). Warszawa 1936.

Kornel Makuszyński: Awantura o Basię. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1936.

K. Makuszyński — M. Walentynowicz: Na nic płacze, na nic krzyki koniec przygód Fiki — Miki. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1936.

Zygmunt Nowakowski: Wytatuowane serca. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

Kornel Makuszyński: Złamany miecz. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

Hanna Mortkowicz: W Palestynie 1936. Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie 1936.

Kazimierz Truchonowski: Ulica Wszystkich Świętych. Powieść. Nakładem Księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1936.

K. Rulewicz: Karol Ossietzky. Nakł. Księgarni Lwowskiej. Lwów 1937.

Od wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie przedpłaty na I-y kwartał 1937 r. Abonentów, którzy nie wpłacili prenumeraty za kwartał ubiegły, prosimy o bezzwłoczne uregulowanie należności, w przeciwnym razie będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłanie im pisma.

Od wydawnictwa

Począwszy od n-ru niniejszego cena pojedyńczego egzemplarza „E P O K I" zostaje obniżona z gr. 60 na gr. 50.

W ciągu 1936 roku w „EPOCE" pisali:

Stanisław Czosnowski, prof. Włodzimierz Dzwonkowski, Zofia Goździejewska, Andrzej Grot, dr. Włodzimierz Jampolski, Czesława Kamińska, prof. Tadeusz Kotarbiński, Władysław Kowalski, Halina Krahelska, Irena Krzywicka, Henryk Lukrec, Wanda Melcer, Herminia Naglerowa, Maria Ossowska, Władysław Oszelda, Bolesław Piach, Wacław Rogowicz, Wincenty Rzymowski, Jan Rola, prof. Zygmunt Szymanowski, Adam Uziembło, Józef Wasowski, Julia Wieleżyńska.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 60 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 3350 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.